Dwór w Kraśnicy, którego już nie ma



Dwór w Kraśnicy, na ganku rodzina Bąkowskich, 1929 r., fot. arch. autorki

Wspomnienie o Ewie Bąkowskiej (1931-2022). Część 1.

*__Aleksandra Ziółkowska-Boehm__ *(Wilmington, Delaware)*

9 czerwca 2022 roku zmarła w Gdańsku Ewa Bąkowska. Była córką Jerzego Bąkowskiego i Ormianki Anny z Wartanowiczów. Tragiczne, smutne polskie losy „z wojną w tle". O jej rodzinie: Jaxa Bąkowskich, Ossowskich i Krasickich napisałam w książce „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon" (*PIW Warszawa 2009, 2015).* O Wartanowiczach napisałam w „Lepszy dzień nie przyszedł już..." (*Iskry, Warszawa 2012; wyd. USA „The Polish Experience Through World War II: A Better Day Has Not Come" (Lanham MD: 2013, 2015; wstęp: Neal Pease*).

Lubiła rozmawiać, wspominać, przywoływać. Rozmawiałyśmy niemal co tydzień. Jakby wolała wspomnienia od rzeczywistości. Nie chciała wiele mówić o sobie, więcej serca wkładała w opowieści, jakie losy spotkały jej rodzinę.

Urodziła się w Kraśnicy, w rodzinnym dworze koło Opoczna . Dwór należał od pokoleń do rodziny Jaxa Bąkowskich herbu Gryf, był dziedziczony do 1945 roku. Ojciec Ewy, Jerzy Jaxa Bąkowski ukończył szkołę średnią w Piotrkowie Trybunalskim, a następnie studia wyższe w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, uzyskując tytuł inżyniera rolnika. W czasie wojny polsko-bolszewickiej, jeszcze jako student, wstąpił na ochotnika do 1. pułku kawalerii (ułanów krechowieckich), jak mówi Ewa: „wnosząc jako wiano swój młodzieńczy zapał, patriotyzm i pięknego wierzchowca". Jerzy walczył na Kresach Wschodnich,

wraz z pułkiem odbył kampanię wojenną (za co później został odznaczony Krzyżem Walecznych), dotarł aż na Podole. Na Podolu poznał piękną Ormiankę. Było tak, że pułk Jerzego Jaxa Bąkowskiego stacjonował na wschodnich rubieżach Polski w Zaleszczykach w wojewodztwie stanisławowskim, niedaleko majątku ziemskiego w Dźwiniaczu, należącym do Ormianina Wartanian-Wartanowicza. Tu Jerzy poznał córkę dziedzica, swoją przyszłą żonę, Annę Marię. Panna była średniego wzrostu, miała lekko kręcone czarne włosy i duże zielone oczy. Swoją urodą, jak potem jej córka Ewa, zwracała uwagę.

O ormiańskiej rodzinie swojej matki opowiedziała Ewa:

…*Matka moja, Anna Maria z domu Wartanowicz, urodziła się 15 grudnia 1901 roku w Dźwiniaczu na Podolu, nieopodal Zaleszczyk. Mój dziadek po kądzieli, Eugeniusz Wartanowicz, pochodził z rodziny ormiańskiej, która wraz z innymi rodzinami uciekła do Polski w XII/XIII wieku w obawie przed rzeziami tureckimi. Większość ówczesnej emigracji ormiańskiej osiedliła się na Podolu, a że byli to ludzie bogaci, więc przeważnie kupowali posiadłości ziemskie. Nowa ojczyzna przyjęła ich bardzo serdecznie, a oni rewanżowali się, płacąc duże daniny na wojsko i sami walcząc w jego szeregach. Z biegiem czasu stali się z wyboru wielkimi polskimi patriotami, nie zatracając jednak swoich korzeni i tradycji. Przyjęli też polskie nazwiska dodając do pierwotnych końcówkę -icz, i tak moi przodkowie noszący*

nazwisko Wartanian zmienili je na Wartanowicz.



Jerzy Jaxa Bąkowski, fot. arch. autorki

…Moi dziadkowie Wartanowiczowie posiadali majątek ziemski w Dźwiniaczu, doskonale gospodarowany, z dużymi sadami i winnicami. Przetaczająca się wojna zniszczyła rolnictwo na tych terenach i nim powstały właściwe władze administracyjne, skierowano okresowo mego dziadka, jako wzorowego rolnika, do Zaleszczyk, aby zajął się odbudową rolnictwa w tym rejonie. Dziadek jednak przeżywał w tym okresie wielkie załamanie psychiczne, gdyż podczas toczących się walk Ukraińcy zamordowali jego siedemnastoletniego syna Tomasza, wówczas ucznia szkoły jezuickiej w Chyrowie. Władze, widząc trudności, z jakmi borykał się dziadek, przydzieliły mu do pomocy

stacjonującego z 1. pułkiem młodego ułana, który zarówno pochodził ze wsi, jak i studiował rolnictwo. To był właśnie mój przyszły Ojciec. Młody pomocnik przejął gros pracy na swoje barki, robiąc to bardzo taktownie, tak aby nie urazić ambicji swojego zwierzchnika. Dziadek darzył go wielką serdecznością i życzliwością, zapraszając również do odwiedzenia swego majątku w Dźwiniaczu. Tam właśnie Ojciec poznał córkę swego pryncypała, Annę zwaną Anulą. Była to miłość od pierwszego wejrzenia.

22 marca 1923 roku we Lwowie w katedrze ormiańskiej młodzi zawarli związek małżeński. Ślub dawał im ksiądz arcybiskup Józef T. Fedorowicz, ostatni, a zarazem najsłynniejszy biskup ormiańsko-katolicki w Polsce .

Po ślubie młodzi zamieszkali w Kraśnicy koło Opoczna. W 1924 roku urodził się Stefan, a w 1931 roku Ewa. Co niedzielę rodzina uczestniczyła we mszy. W święta Ewa ubrana w wełniak, w stroju opoczyńskim, sypała kwiatki. Stroj opoczyński jest malowniczy, kobiety noszą wełniaki, zapaski, lniane koszule ozdobione haftem krzyżykowym, czepce oraz rozliczne chustki i chusteczki. Kolor chust zwanych szalinówkami zmieniał się. Dziewczęta do sypania kwiatów raz wkładały „niebowe”, czyli niebieskie chusty, tak zwanego koloru „likstryczego”, który także był odcieniem niebieskiego, innym razem czerwone lub białe. W chłodniejsze dni wkładały rodzaj pelerynek, duże haftowane zapaski, „do

odziewu”. Dla rodziny Bąkowskich w kościele były specjalnie ustawione po lewej stronie przy ołtarzu krzesła. Gdy nie było miejsca, dzieci siadywały na schodach prowadzących na ambonę. Każdej niedzieli odprawiano dwie msze święte. Do Anny i Jerzego Bąkowskich ksiądz się zwracał: – Pani kolatorowo, panie kolatorze . Wieś mówiła: – Panie dziedzicu, pani dziedziczko.



Kościół w Kraśnicy, fot. arch. autorki

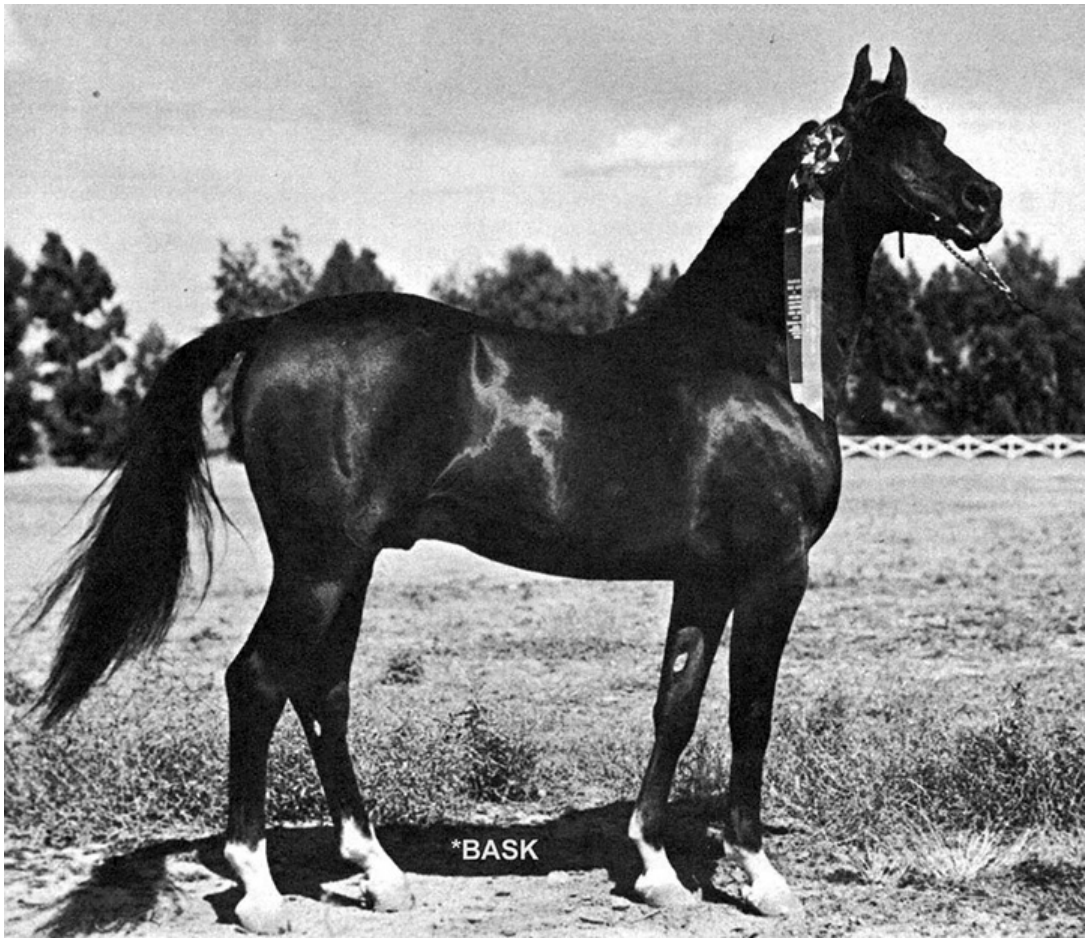
Kościół i święta nadawały rytm życia w Kraśnicy. Odpusty były dwa razy w roku, w dniach patronów: 23 kwietnia na św. Wojciecha, i 17 sierpnia na św. Rocha. Na wsi była kapela, w której wyróżniały się bębny i basy – dłubane z jednego kawałka drewna, struny zaś były robione z baranich jelit, tak jak za dawnych czasow. Skrzypki robił Gwardecki, a w kapeli grał Jan

Staniec. Młodziutka Ewa z Janem trzymali do chrztu małego Tadeusza Lipskiego, syna nocnego stróża.

Wielką miłością rodziców Ewy były konie. W Kraśnicy Anna i Jerzy Bąkowscy założyli stadninę koni arabskich. Ta niewielka stadnina dzięki urodzonej tu słynnej klaczy Bałałajka stała się znaną nie tylko w Polsce, ale na całym świecie. Potomek Bałałajki, Bask, jest legendą amerykańskich koni arabskich. Ewa Bąkowska z dzieciństwa doskonale pamięta konie, starania rodziców wokół nich i atmosferę stadniny. Specjalny pracownik dbał tylko o dorosłe konie, o cugowe inny, a jeden ze stajennych troszczył się tylko o źrebaki. Konie robocze łączono w czwórki, za każdą czwórkę odpowiadał jeden fornal, który miał pomocnika, tzw. posyłkę. Ewa zachowała w pamięci obraz rodziców krzątających się przy koniach, ich miłość do koni arabskich i ich dumę z udanej hodowli.



Ewa Bąkowska z koniem Ilonką, fot. arch. autorki



Bask, fot. arch. autorki

Gdy wybuchła druga wojna światowa, Jerzy Bąkowski, ojciec

Ewy, wyruszył z Kraśnicy na wojnę, z której już nie wrócił. Wzięty do niewoli przez Sowietów, został osadzony w Starobielsku. Rodzina dowiedziała się o tym, gdyż przysłał dwie kartki. O jego zamordowaniu w Charkowie wiosną 1940 roku, jak i o zamordowaniu Witolda Krasickiego, ojca bliskiego kuzyna Ewy, Janusza – rodzina nie wiedziała długie lata.

Na początku wojny Niemcy przejęli Kraśnicę, jak wszystkie majątki. W 1941 roku zabrali najpiękniejsze araby i kazali je odstawić do najbliższych stadnin – do Bogusławic i do Janowa. Zabrali też dokumenty rodowe koni. Zostawili Annie jedną klacz, która pochodziła od Łyski, była koniem czystej krwi arabskiej, ale urodziła się z krzywą szyją i dlatego Niemcy jej nie chcieli. Irenka była łagodną i spokojną kasztanką, bardzo przez wszystkich lubianą. Pozostała z rodziną aż do przyjścia Rosjan.

Później zabrane z Kraśnicy araby Niemcy ewakuowali do Kolonii. Po wojnie strefa ta została wyzwolona przez Amerykanów, a najładniejsze konie przejęte przez Amerykanów pojechały do Stanów Zjednoczonych.

---

[1] W październiku 2016 roku Rada Miejska w Opocznie podjęła uchwałę o nadaniu Ewie Bąkowskiej Honorowego Obywatelstwa

Gminy Opoczno.

[2] Urodzony w szlacheckiej rodzinie ormiańskiej w 1864 r., wybitny parlamentarzysta, zasłynął swoimi kazaniami, publikacjami. W latach 1902–1918 zasiadał w Sejmie Krajowym we Lwowie i w Izbie Panów w Wiedniu, gdzie bronił spraw polskich. Cieszył się wielkim uznaniem papieża Piusa X. Zmarł w 1938 roku. Pochowany początkowo na Cmentarzu Orląt Lwowskich. W obawie profanacji grobu w roku 1940 przeniesiono szczątki na Cmentarz Łyczakowski we Lwowie.

[3] Kolator, łac. *collato*r, dawniej fundator kościoła lub jego spadkobierca.

*

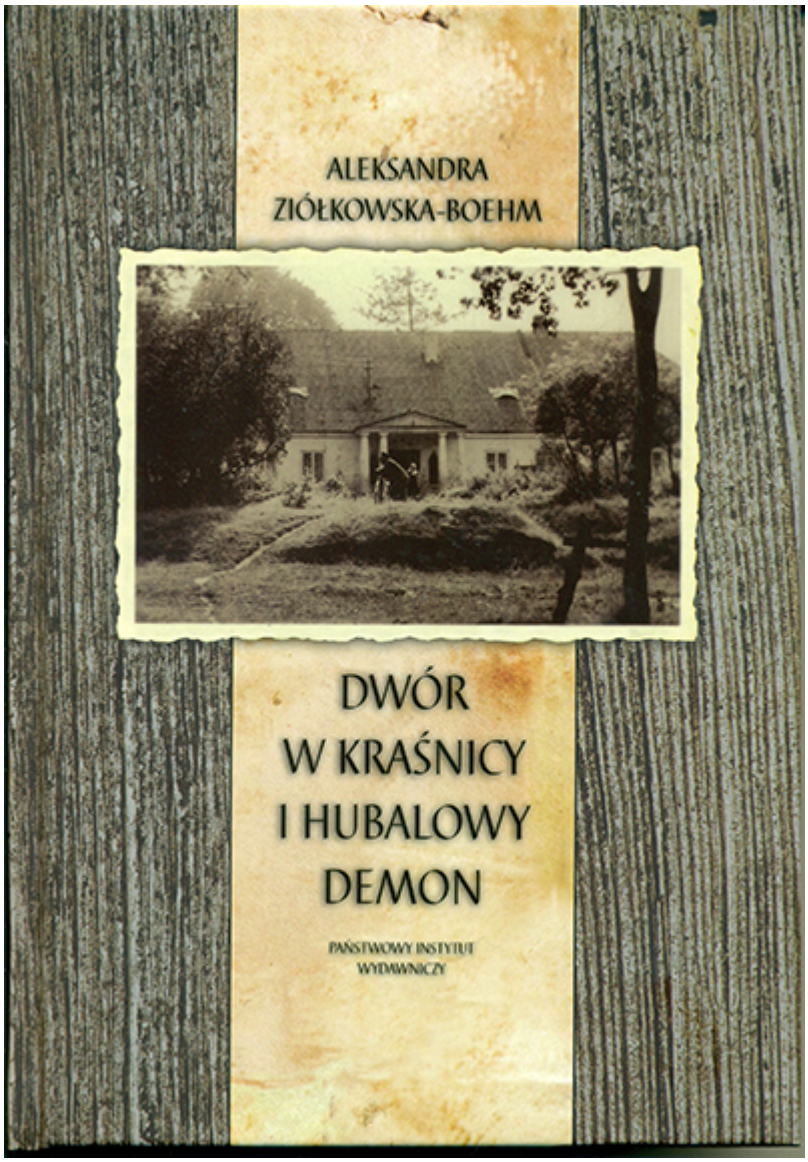
Część 2:

> Partyzanci, chłopcy malowani i „Demon” Hubala

*

Książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, w których m.in. została opisana historia rodziny Bąkowskich „Dwór w

Kraśnicy i Hubalowy Demon” oraz „Lepszy dzień nie przyszedł już…”

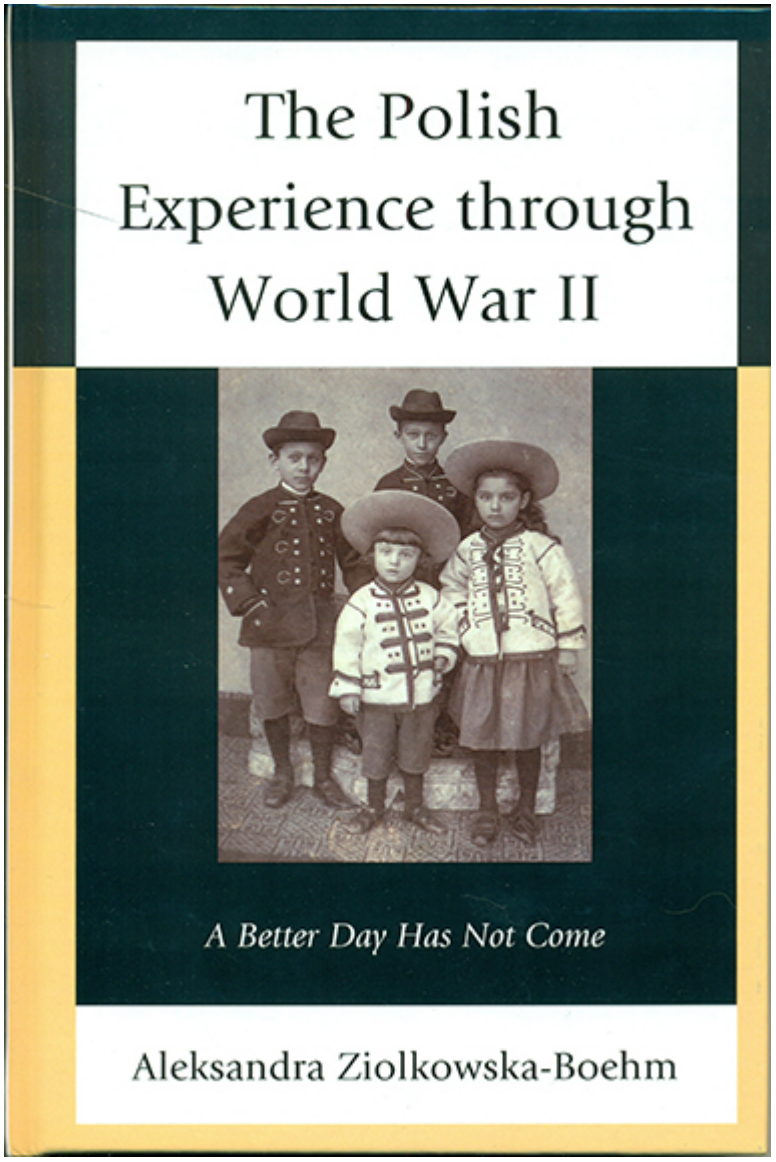


Aleksandra
Ziółkowska-Boehm



LEPSZY DZIEŃ NIE PRZYSZEDŁ JUŻ

DIKSY



Między nauką

a literaturą

Rozmowa z profesorem Stanisławem Sławomirem Nicieją



Prof. Stanisław Nicieja w słynnym przedwojennym uzdrowisku Truskawiec podczas kręcenia filmu o tym mieście

Aleksandra Ziółkowska-Boehm *(Wilmington, Delaware)*:

Jest Pan postacią – nie waham się nazwać – niezwykłą. Kustosz pamięci, historyk, badacz, biografista, publicysta,

wizjoner, autor filmów dokumentalnych, działacz społeczny. Ma Pan okazały dorobek naukowy, kulturalny, publicystyczny. Jest Pan autorem wielu znanych prac naukowych a także reportaży historycznych. Otrzymał Pan liczne nagrody, odznaczenia i medale.

Stanisław Nicieja *(Opole):*

Jest mi bardzo miło wysłuchać tak wysokiej oceny moich działań zarówno organizacyjnych, jak i naukowych. Naturalnym oczekiwaniem człowieka jest, aby jego praca i działanie społeczne było zauważalne. Jednak pech czasem sprawia, że wiele osób mogących szczycić się swymi ważnymi, a nierzadko wybitnymi osiągnięciami, pozostaje w cieniu, a ich osiągnięcia anonimowe bywają przypisywane innym. Myślę, że jestem dzieckiem szczęścia, ponieważ moje działania i funkcjonowanie społeczne w różnych środowiskach było i jest zauważane i wyróżniane. I to jest doping do pracy i działalności społecznej, gdyż bez uznania środowiska nie ma satysfakcji. Brak akceptacji paraliżuje wszelką inicjatywę. Uważam, że los mi wyjątkowo sprzyja. Akceptowanie tego, co czynię, wpływa na stymulację mych działań.

Opole jest Panu bliskie od lat studenckich, skończył Pan tu studia historyczne, uzyskał doktorat, habilitację, profesurę.

Urodziłem się na Dolnym Śląsku i bliżej było mi pójść na studia do Wrocławia – dużej aglomeracji miejskiej i wielkiego centrum naukowego, z bardzo prestiżowym uniwersytetem, na którym po wojnie wykładała kadra przedwojennego Uniwersytetu Lwowskiego, i to o tak dużych nazwiskach, jak choćby Hugo Steinhaus, Ludwik Hirschfeld, polonista Mieczysław Klimowicz czy historycy, Ewa i Karol Maleczyńscy. Ja wybrałem mniejszy ośrodek, Opole, głównie z tego względu, że tam odbywał się Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej. A był to czas wielkiej eksplozji polskiego *rock end rolla*, kolorowych hipisowskich zespołów, które grały w stylu bitlesowskim. Było ich wiele. Bliska mi była wówczas filozofia hipisów. Nosiłem długie włosy, buty bitlesówki i koszulę w kwiaty. Opole miało swoisty klimat. Wybrałem je, aby na co dzień być w pobliżu słynnego amfiteatru, wypełnionego w letnie dni artystami.

Na Uniwersytecie Opolskim przez cztery kadencje pełnił Pan funkcję rektora. Był Pan także dyrektorem Instytutu Historii, był Pan też senatorem Rzeczypospolitej V kadencji. W Opolu nowa siedziba Uniwersytetu w dużej mierze jest Pana zasługą, przyczynił się Pan także do przekształcenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Uniwersytet.

Opole jest miłym miastem, takim polskim Heidelbergiem – nie za dużym, nie za małym. Leży na dobrym szlaku. Blisko stąd do

dużych aglomeracji – Wrocławia czy Katowic: godzina drogi samochodem. Miasto jest kameralne, ma wdzięk. Ładną architekturę, piękny Rynek z kamieniczkami i ratuszem w stylu florenckim. Uczelnia, którą wybrałem, od początku miała klimat serdeczności i przyjaźni. Były na niej partnerskie relacje między kadrą profesorską a studentami. Kampus uniwersytecki zamknięty w trójkącie trzech ulic ciągle się rozbudowywał. I po studiach włączyłem się w ten proces. A mając szczęście do ludzi i ważnych przyjaźni stałem się z czasem jednym z liderów tego środowiska, więc powierzano mi funkcje kierownicze – w Instytucie Historii, a później całej Uczelni. Żeby rozbudować mój uniwersytet musiałem wchodzić w relacje polityczne, czasem ryzykowne, ale dające możliwości skutecznego zdobywania finansów na rozbudowę kampusu uniwersyteckiego: na wielomilionowe inwestycje oraz ściąganie wartościowej kadry naukowej. Obiekty, które powstały w czasie moich czterech kadencji rektorskich, kosztowały około 190 milionów złotych. Były to m.in.: Collegium Maius, Collegium Minus, Collegium Civitas i inne.



Prof. Stanisław Nicieja w gronostajach rektorskich. Funkcję rektora Uniwersytetu Opolskiego pełnił przez cztery kadencje w latach 1996-2016. Jest uważany za jednego z głównych twórców opolskiej Alma Mater.

Przyjemnie jest być od lat związanym z jedną uczelnią?

Uważam, że tak. Chociaż w Ameryce może to brzmi dziwnie, że nie zmienia się co pewien czas uczelni. Jestem monogamistą. Od pół wieku związany jestem z jedną kobietą i z jednym miejscem pracy, z mocno rozgałęzionymi przyjaźniami w tym miejscu. Co

nie znaczy, że z tego kokonu uniwersyteckiego nie wyrywam się co pewien czas w świat. Mogę nawet powiedzieć, że jestem globtroterem, bo przejechałem całą Europę wzdłuż i wszerz – od Lizbony po Sankt Petersburg, od Belgradu po Sztokholm. Byłem na wielu uniwersytetach w Europie, Azji i Australii, m.in. w Berlinie, Hanowerze, Singapurze, Tajpej i Perth. No i wielokrotnie przemierzyłem całe Kresy – od Kiejdan i Wilna po Stanisławów i Kołomyję. Miałem dotychczas przynajmniej 1000 spotkań autorskich, głównie w Polsce, ale i w Europie, w tym w lwowskim Ossolineum, londyńskim POSK-u czy Bibliotece Polskiej w Paryżu.

Opole – dzięki Pana staraniom – zostało wzbogacone niezwykłymi rzeźbami. Wzgórze Uniwersteckie w Opolu ozdobiły rzeźby Henryka Hartmanna „Cztery pory roku”. Ustawiono tam m.in. kolumnę Maryjną, figurę św. Krzysztofa z Dzieciątkiem, Chrystusa, św. Wojciecha. Także wmurowano tablicę poświęconą Janowi Pawłowi II.

Każde miasto uniwersyteckie powinno mieć jakąś specyfikę, jakiś wyróżnik, coś, co jest swoistym emblematem kojarzącym się z tym miastem. I kiedy w 1994 roku tworzyliśmy w Opolu Uniwersytet, i kiedy zostałem liderem tego środowiska zdecydowałem jako rektor, że główny budynek uniwersytecki, Collegium Maius (który wówczas był opuszczoną ruiną po dawnym klasztorze dominikańskim), powinien wrócić do dawnej

świetności. Uważałem, że nie tylko jego wnętrza: sale z pięknymi plafonami, refektarz, gabinety dziekańskie i korytarze mają odzyskać duch baroku oraz klasycyzmu, ale też jego otoczenie – wzgórze, na którym ten dawny klasztor został wzniesiony powinno wyróżniać się piękną rzeźbą barokową, neogotycką i współczesną. Ponieważ w podopolskich wsiach, gdzie były poniemieckie pałace i parki krajobrazowe znajdowało się wiele poniszczonych rzeźb, udało mi się za zgodą konserwatorów zabytków przewieźć je do Opola, odrestaurować i umieścić przy ścieżkach na Wzgórzu Uniwersyteckim, co spowodowało, że miejsce to stało się niezwykle atrakcyjne. Stało się swoistym muzeum rzeźby na wolnym powietrzu.



Rektor prof. Stanisław Nicieja wręcza Danielowi Olbrychskiemu – wybitnemu polskiemu aktorowi, dyplom doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego

Opole znane jest z corocznego (od 1963 roku) Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej. Dzięki Panu – na Wzgórzu Uniwersteckim powstały pomniki – Agnieszki Osieckiej, Czesława Niemena, Marka Grechuty, Jerzego Grotowskiego, Jeremiego Przybory, Jerzego Wasowskiego, Jonasza Kofty, Wojciecha Młynarskiego.

Dotyka tu Pani fenomenu polskiej kultury lat 60. i 70. XX wieku. Wtedy to stworzono Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej (takie polskie San Remo czy Woodstock), który był dla mnie – jak już wspomniałem wyżej – magnesem do podjęcia studiów humanistycznych właśnie w Opolu. Był to czas, kiedy w opinii poety Jeremiego Przybory: „Polska stała się europejskim imperium piosenki artystycznej na najwyższym poziomie". Tworzyli wtedy i przyjaźnili się ze sobą Agnieszka Osiecka, Wojciech Młynarski i Jonasz Kofta, a rywalizowali z nimi o palmę pierwszeństwa nie mniej znakomici poeci, by wspomnieć tylko Leszka Aleksandra Moczulskiego, Janusza Kondratowicza, Jacka Cygana czy Magdę Czapińską. Muzykę do wierszy tej plejady poetów tworzyli m.in. Seweryn Krajewski, Andrzej Korzyński, Włodzimierz Nahorny i Włodzimierz Korcz. Ich utwory wykonywali tacy mistrzowie estrady i wokalistyki, jak choćby Czesław Niemen, Maryla Rodowicz, Ewa Demarczyk, Stan Borys,

Michał Bajor, a także Łucja Prus.

Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu, na którym triumfy odnosili wyżej wymienieni artyści, był jednym z centralnych wydarzeń w polskiej tzw. kulturze wysokiej. Na każdym festiwalu w latach 60. i 70. wyróżniano kilka piosenek, które natychmiast stawały się przebojami i do dziś są powszechnie znane. Ponadto polscy artyści i piosenkarze zaczęli pisać muzykę do wierszy najwybitniejszych polskich poetów: Niemen do poezji Norwida i Iwaszkiewicza, Grechuta do poezji Mickiewicza i Wyspiańskiego, Ewa Demarczyk śpiewała wiersze Tuwima, Baczyńskiego i Białoszewskiego. To była rzecz niebywała. Nakłady płyt były milionowe. Zostawiło to wielki ślad w polskiej kulturze. Na tej twórczości wychowały się całe pokolenia młodych Polaków. W latach 90. XX wieku poziom festiwalu opolskiego obniżył loty, skomercjalizował się i dziś nie odgrywa już istotnej roli w polskiej kulturze. Chcąc dać wyraz artystyczny i podkreślić znaczenie ludzi i tamtych wydarzeń postanowiłem na Wzgórzu Uniwersyteckim, w okalającym go parku, wśród zieleni, przy alejkach wznieść pomniki portretowe artystów, których Pani wymieniła, bo byli najwięksi z twórców tej złotej epoki w dziejach polskiej piosenki artystycznej.

Na pewno nie tylko mieszkańcy Opola cieszą się tymi rzeźbami.

Pomysł postawienia rzeźb na Wzgórzu Uniwersyteckim okazał się trafny, bo dzisiaj jest to miejsce kultowe. Nie ma dnia, aby nie było tam wycieczkowiczów z całej Polski, którzy zatrzymują się przy pomnikach dawnych swych idoli, takich jak Niemen czy Grechuta, siadają przy nich na ławeczkach, robią fotografie.

Urodził się Pan w Strzegomiu, rodzice pochodzili z Małopolski, okolic Wadowic i Kalwarii Zebrzydowskiej.

Strzegom – nazywany jest polskim Chartres – to piękne dolnośląskie miasteczko, stolica kamieniarzy – kiedyś niemieckich, dziś polskich. Jest tam kilkanaście dużych kamieniołomów granitu i bazaltu. Stąd bogactwo tego miasta w postaci wspaniałych świątyń: gotyckiej, jednej z największych w tej części Europy bazylik i barokowego kościoła ewangelickiego. Miasto było poważnie zniszczone w czasie wojny, ale jego zabytki częściowo odbudowano. Moi rodzice osiedli tam w 1945 roku, gdy ze Strzegomia usunięto Niemców. Przyszli z ziemi wadowickiej, gdzie jest kolebka rodu Niciejów. Mój stryj, Franciszek Nicieja, urodził się dwa dni wcześniej niż ojciec święty Jan Paweł II. W księdze parafialnej w Wadowicach zapisani są na tej samej stronie informującej o dniu ich urodzenia i rodzicach chrzestnych.

Głównym Pana tematem badawczym są Kresy Wschodnie. Pasja i miłość do Kresów zaczęła się w 1978 roku, kiedy

znalazł się Pan we Lwowie i nim się zachwycił. Proszę przybliżyć ten początkowy okres zainteresowania Kresami.

Moje książki związane z historią Kresów, to moja wielka przygoda intelektualna, która niespodziewanie pojawiła się w moim życiu i dała mi ogromną satysfakcję. A trwa to już 40 lat. Do Lwowa trafiłem dość przypadkowo tuż po studiach, z kolegą z uczelni, który wziął mnie na urlop do Lwowa, bo tam miał swoją rodzinę. Nie miałem o tym mieście większego pojęcia, wszak temat lwowski był w PRL-u w dużej mierze tematem tabu. Podczas tego pierwszego, krótkiego pobytu we Lwowie w lipcu 1978 roku uległem fascynacji tym miastem nazywanym „małym Wiedniem”: jego położeniem i architekturą.



Prof. Stanisław Nicieja przy nagrobku Orlęcia – Konrada Domiszewskiego na słynnym Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie

Był Pan – jako senator – ekspertem przy odbudowie Cmentarza Orląt Lwowskich. Pana książki: „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie 1786-1986” (Wrocław 1988) i „Cmentarz Obrońców Lwowa” (Ossolineum 1990) przyniosły nagrody i uznanie czytelników.

Ta fascynacja Lwowem zaczęła się od Cmentarza Łyczakowskiego – jednej z najpiękniejszych nekropolii na

świecie, porównywalnej z paryskim Père Lachaise, londyńskim Highgate Cementery czy rzymskim Campo Verano. Na Łyczakowie spoczywa kwiat polskiej inteligencji – ludzie kultury, nauki i gospodarki. Cmentarz ma ponad 200 lat, a swoje rzeźby nagrobne zostawili tam artyści formatu światowego – Niemcy, Polacy, Austriacy i Włosi, tacy jak Hartmann Witwer, Anton Schimser, Abel Marie Périer, Parys Filippi, Leonard Marconi czy też Antoni Kurzawa i Luna Drexlerówna. Na tym cmentarzu wykonałem 12 tysięcy zdjęć, w czasach Breżniewa, gdy cmentarz był zaniedbany, w dużej części zdewastowany i nikt nie przypuszczał, że Związek Sowiecki upadnie. Swoją monografię o cmentarzu Łyczakowskim pisałem w okresie stanu wojennego, do szuflady. A gdy przyszedł czas, kiedy w Polsce zelżała cenzura, moja książka o łyczakowskiej nekropolii, wydrukowana przez Ossolineum, stała się sensacją. Nazwano ją nawet literaturą pieriestrojkową. Wyszła w nakładzie 300 tysięcy egzemplarzy. Przełamała mur milczenia o Lwowie. Stała się Książką Roku 1989 i dostałem za nią kilka prestiżowych nagród, w tym londyńskiej Fundacji Kulturalnej im. Prezydenta Edwarda Raczyńskiego. Monografia łyczakowska miała kilkaset pozytywnych recenzji, także na Ukrainie, i uczyniła mnie rozpoznawalnym wśród polskich historyków. Dzięki niej mogłem osobiście poznać tak wybitnych lwowian, jak Stanisław Lem, Wojciech Kilar, Adam Hanuszkiewicz, Andrzej Hiolski, Alfred Jahn czy Kazimierz Górski, i bywać w ich domach. Mogłem poznać lwowian żyjących jeszcze wówczas nie tylko we

Wrocławiu, Krakowie czy Warszawie, ale też w Londynie i Paryżu. Jerzy Janicki – wybitny scenarzysta i piewca Lwowa nazwał mnie wówczas „adoptowanym dzieckiem Lwowa".

Cmentarz Łyczakowski jest jednym z najstarszych obecnie istniejących europejskich cmentarzy (młodsze od niego są: Rakowicki w Krakowie, Powązki w Warszawie, Père-Lachaise w Paryżu). Na Cmentarzu Łyczakowskim leżą wielcy Polacy (m.in. Maria Konopnicka, Gabriela Zapolska, Artur Grottger, Stefan Banach). Cmentarz Obrońców Lwowa, znany jako Cmentarz Orląt, stanowi wydzieloną część Cmentarza Łyczakowskiego. Na Cmentarzu Orląt spoczywają Polacy polegli w obronie Lwowa w czasie wojny polsko-ukraińskiej w latach 1918-1919 i w czasie wojny polsko-bolszewickiej z 1920 r. Pochowanych jest tam blisko 3 tys. żołnierzy, głównie chłopców – stąd nazwa Cmentarz Orląt. Jaka była Pana rola w ratowaniu tego cmentarza?

Po sukcesie książki o Cmentarzu Łyczakowskim, w której jeszcze ze względów cenzuralnych musiałem pominąć wątek Orląt Lwowskich, postanowiłem – a był już rok 1990 i o losach Polski decydowała „Solidarność" – wypełnić białą plamę i napisać historię Orląt. Zająłem się wówczas odtworzeniem dziejów Cmentarza Obrońców Lwowa. I właściwie napisałem drugi tom poprzedniej książki, szczegółowo opisując ponad 3 tysiące

zmarłych obrońców Lwowa, którzy spoczywali w sprofanowanej jeszcze wówczas przez sowieckie czołgi kwaterze Orląt. Wtedy też, a był to czas – jak już wspomniałem – pierwszych rządów „Solidarności" w Polsce, moja książka o Cmentarzu Orląt stała się jedną z merytorycznych podstaw służących odbudowie tej kwatery cmentarnej. Byłem w grupie ekspertów przygotowujących dokumentację odtworzenia i renowacji Cmentarza Orląt.

Zbiegło się to z moim senatorstwem. Nigdy nie czułem się politykiem. Byłem historykiem-badaczem, ale miałem przekonanie, że bez włączenia się w działalność polityczną moje pomysły będą miały ograniczoną skalę oddziaływania i realizacji. Mam więc satysfakcję, że byłem jednym z uczestników odbudowy Cmentarza Orląt i dostąpiłem wyróżnienia, mogąc w 2005 roku uczestniczyć w otwarciu odbudowanego Cmentarza Orląt we Lwowie. Jako senator RP stałem w pobliżu miejsca, gdzie prezydenci Polski – Aleksander Kwaśniewski i Ukrainy – Wiktor Juszczenko oficjalnie przecięli wstęgę i udostępnili ten cmentarz rodzinom obrońców i pragnącym po latach złożyć hołd walczącym o polski Lwów. Uroczystość na żywo relacjonowały polskie i ukraińskie media, w tym państwowe telewizje. Moja książka o Cmentarzu Orląt była mocno popularyzowana w kraju i na emigracji jako zapis historii tej wojskowej nekropolii i tragicznych losów, które przetoczyły się przez Lwów w pierwszej połowie XX wieku.



Prof. Stanisław Nicieja na rynku w Zamościu z Jerzym Hoffmanem – reżyserem, który zekranizował całą „Trylogię” Henryka Sienkiewicza

Niezwykłą Pana pracą jest seria tomów „Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych”. Seria ta wzrusza, budzi podziw, wywołuje uczucia, chroni od zapomnienia. Przywołuje Pan wiele postaci – świadków historii, pokazuje przeszłość i teraźniejszość. Tyle pasji… uprawia Pan biografistykę, łączy Pan szczęśliwie naukę z literaturą i historią.

Książki o Lwowie, a głównie o jego nekropoliach, których napisałem kilka, ugruntowały moje zainteresowanie Kresami, bo ci, którzy byli wybitnymi lwowianami opisanymi przeze mnie w monografiach cmentarnych, pochodzili często z miasteczek kresowych. Postanowiłem więc pokazać ich rodowody. I wówczas odkryłem tematykę, która dała mi szeroki lot. Uświadomiłem sobie, że Polska w wyniku II wojny światowej, przesunięta jak klocek na mapie Europy o 250 kilometrów na zachód, znad Zbrucza, Horynia i Dźwiny nad Odrę i Nysę Łużycką, straciła w wyniku układów jałtańsko-poczdamskich ponad 200 miast, tysiące wsi, setki kościołów, klasztorów, cmentarzy, tysiące dworów i pensjonatów. Postanowiłem więc opisać historie tych miejscowości, tych zabytków, tych ludzi, po których w wyniku tragicznych wydarzeń wojennych zostały tylko wypłowiałe fotografie, garść wspomnień i wielkie sentymenty czy resentymenty.

W miejscach, gdzie żyli, gdzie stały ich domy, warsztaty czy fabryki dzisiaj są tam często tylko chaszcze, zarośla, gruzowiska, albo nie ma po tych budowlach nawet śladu. Rezydencje pałacowe, świątynie, dwory, hotele, parki i ogrody zostały unicestwione przez pożogę wojenną niczym mityczna Atlantyda, zostały zmiecione z powierzchni ziemi w czasach bratobójczych walk. Nie spodziewałem się, że reakcja na to moje nowe wydawnictwo będzie tak duża i że recepcja książek z tej serii będzie tak akceptowalna i wywoła lawinę informacji, która drogą

mailową, pocztową i telefoniczną popłynęła na mój adres. Otrzymałem tysiące zdjęć, dokumentów, wspomnień, różnego typu informacji, które płynęły od ostatnich świadków usuniętych z Kresów w wyniku ekspatriacji oraz od ich późnych wnuków. W ten sposób powstało moje nowe, ogromne archiwum właściwie wywołane przez tę serię książek noszących tytuł „Kresowa Atlantyda”.



Ryszard Kapuńsiński w gościnie u Haliny i Stanislawa Niciejów w ich dworku „Niciejówka” w Pępicach

Ukazało się już 17 tomów, w przygotowaniu są następne. Jakie będą tematy kolejnych tomów „Kresowej Atlantydy”?

Tych 17 tomów to ponad 5 tysięcy stron tekstu i około 5 tysięcy dokładnie opisanych fotografii miejsc i ludzi. W tych tomach zawarte są biografie głównie polskich i żydowskich mieszkańców ziem utraconych, ale też historie ich późnych wnuków. Bo staram się w mych książkach pokazać nie tylko kim byli babka, dziadek czy pradziadkowie mieszkający we Lwowie, Stanisławowie, Grodnie lub Wilnie, ale jakie losy są ich potomków – wnuków czy prawnuków, którzy znaleźli się w powojennym Wrocławiu, Szczecinie, Zielonej Górze, Legnicy, Strzegomiu czy Koszalinie. Czy utrzymali poziom materialny i intelektualny swych przodków, czy go zmarnowali bądź rozbudowali? Czy pamiętają o swoich korzeniach? To jest esencja moich książek – ogromna warstwa biograficzna. Ciągle powtarzam i podkreślam, że historię tworzą konkretni ludzie ze swoimi talentami i dokonaniami. Szukam w ich życiorysach barw kulturowych i cywilizacyjnych. Przeplatam ich biografie anegdotami, literackimi opisami, poezją i rejestruję ich dokonania. I tu dopatruję się akceptacji tej serii książek, bo w sumie nakład „Kresowych Atlantyd" dochodzi już do 200 tysięcy egzemplarzy. I dla wielu rodzin poszczególne tom stały się… biblią rodzinną, są dokumentacją ich korzeni cywilizacyjnych i kulturowych.

Posuwam się w swej pracy jak japoński pracoholik – co pół roku kolejny tom „Kresowej Atlantydy", a w nim 4-7 miejscowości, z opisem biografii kilkuset rodzin, zilustrowanych ich osobistymi zdjęciami. Pracuję obecnie nad 18. tomem – historią wołyńskich

miasteczek: Mizocz, Zdołbunów, Równe i Włodzimierz Wołyński. Przywołuję historie rodzinne takich Kresowian, jak choćby Jerzego Antczaka z Włodzimierza Wołyńskiego – słynnego twórcy ekranizacji powieści „Noce i dnie" Marii Dąbrowskiej, Jonasza Kofty – poety, twórcy wspaniałych ballad, autora wielkiej pieśni „Pamiętajcie o ogrodach"; czy też – pisząc o Równem – przywołuję jedną z legendarnych postaci „Solidarności" – Annę Walentynowicz, która też ma wołyński rodowód.

Ma pan szczęście do ludzi... Pisze Pan, że te tomy „Kresowej Atlantydy" nie mogłyby powstać bez udziału setek potomków rodzin Kresowian, którzy przysyłają Panu dokumenty, fotografie, wspomnienia.

Tak, to moje wielkie szczęście, że przez swoje książki pozyskałem zaufanie. I to, że ludzie odkrywając przede mną najskrytsze tajemnice, nie lękali się, że ich historie strywializuję, że będę surowym sędzią czynów i dokonań ich przodków. Jest to ważne dla mnie w czasach, gdy ludzie boją się lustracji i obnażania politycznego – ten lęk rozlewa się po współczesnej Polsce w czasie irracjonalnych podziałów, zwłaszcza gdy historia jest wykorzystywana do walki politycznej i potępiania inaczej myślących. Dopóki będę miał zaufanie ludzi, że nie spożytkuję źle i koniunkturalnie ich rodzinnych faktografii, kolejne tomy będą powstawać i wierzę, że będą mieć akceptację czytelniczą.

Pisze Pan nie tylko o sławnych postaciach, ale pokazuje życie lekarzy, księży, nauczycieli, działaczy społecznych.

Dotyka Pani istoty sprawy. Nie uważam bowiem, że historię tworzą tylko ludzie z pierwszych stron gazet – politycy, premierzy, generałowie, kardynałowie, biznesmeni. Uważam, że historię tworzymy wszyscy. Tylko jedni z nas tworzą historię całego narodu, a inni historię lokalną czy mini historię swojej rodziny, miasteczka czy przysiółka. Nie jest ważne, jaką funkcję człowiek pełnił, tylko to, co po sobie zostawił. Czasem polityk o randze senatora, generała czy ministra okazywał się szkodnikiem społecznym, i zdarzało się, że wpływał destrukcyjnie na toczące się wydarzenia. Dlatego też pokazuję np. postacie charyzmatycznych proboszczów, którzy umieli wokół siebie skupiać ludzi, inspirować ich do twórczej pracy i odgrywali częstokroć ważniejszą rolę od arcybiskupa, który nie miał takiej osobowości. W poszczególnych tomach „Kresowej Atlantydy” są dziesiątki biografii nauczycieli, notariuszy, prawników, działaczy harcerskich, członków stowarzyszeń katolickich czy sportowych, różnych hobbystów, kolekcjonerów i wynalazców, którzy zostawili niezwykłe owoce swej działalności. I najważniejsze – ludzką wdzięczność. Byli solą tamtej ziemi.



Stanisław i Barbara Lemowie w towarzystwie Haliny i Stanisława Niciejów, Kraków 1999 r.

Ocala Pan od zapomnienia, przypomina, że państwo polskie miało zmieniające się granice – od Bałtyku po Morze Czarne, od Śląska po Żmudź i Inflanty. Przypomniał Pan – że historia Polski obejmuje zmianę obszarow, pokazał naszą bogatą spuściznę kulturową.

Piszę o fenomenie polskiej historii. Istniejące od ponad tysiąca lat państwo polskie tym wyróżnia się od innych państw europejskich, że nie miało przez całe stulecia tych samych granic, tak jak np. Hiszpania leży od wieków w tym samym miejscu (między Portugalią a Pirenejami). Podobnie Francja,

Włochy, nie mówiąc już o Anglii, Holandii czy Norwegii. A Polska na przestrzeni wieków miała pulsujące granice. Inny kształt miała w czasach piastowskich, inny w czasach jagiellońskich, inny za Wazów i Sasów. Był czas, że zniknęła z mapy Europy i odrodziła się gdzieś nad rzekami Zbrucz, Niemen, Czremosz, i miała wówczas w swych granicach Wilno i Lwów, a po kilkudziesięciu latach miała już w swych granicach dawne miasta niemieckie – Szczecin, Wrocław czy Opole, a Lwów i Wilno były już w innych państwach. Pisanie więc o Polsce w granicach państwa, w którym obecnie mieszkam, byłoby wycięciem sobie przynajmniej połowy mózgu. Bo gdzie urodził się Piłsudski, Paderewski, Miłosz, Herbert czy Lem. Poza granicami państwa, w którym żyję. A więc pokazuję, jak szeroko sięgały swoimi wpływami polskie rodziny i rody, gdzie budowały swoją wielkość i co traciły. Był czas, gdy Polska z lennami miała obszar ok. 1 milion 200 tysięcy kilometrów kwadratowych, a dziś ma 312 tysięcy km^2, czyli czterokrotnie mniej. I właśnie o tym m.in. piszę w „Kresowej Atlantydzie”.

Pisał Pan o kresowym Trójmieście: Truskawcu, Drohobyczu i Borysławiu; o dziejach Lwowa, Stanisławowa, Tarnopola, Drohobycza. Borysławia, Kołomyi, Krzemieńca, Łucka, Pińska, Śniatyna, Stryja, Złoczowa… Nie pomija Pan także mniejszych miejscowości, o których nie wspomina się często.

Wymieniła Pani najważniejsze miasta i ośrodki przemysłowe, które dotychczas opisałem w swoim cyklu kresowym. Tam jest esencja faktograficzna dla moich opisów. Ale przy tych dużych skupiskach miejskich, bądź nieopodal nich były małe miejscowości, wsie czy przysiółki, z których wyszli niepospolici ludzi. I nim stamtąd wyszli, byli twórcami ważnych faktów, mieli tam swoje dwory, manufaktury, pracownie artystyczne, miejsca spotkań towarzyskich. I to dla mnie było i jest też przedmiotem pracy badawczej.

Pisał Pan o „polskim Londynie", przywoływał postaci Mariana Hemara, Władysławy Majewskiej...

W mojej biografii twórczej jest też ważny epizod londyński. W sumie nad Tamizą, dzięki Fundacji Lanckorońskich oraz pomocy Tadeusza Zabłockiego (urodzonego w Kijowie), Józefa Baranieckiego, Stefanii Kossowskiej i Władysławy Majewskiej (urodzonych we Lwowie), spędziłem w Londynie w sumie około rok. Penetrowałem polskie cmentarze w londyńskich dzielnicach, korzystałem z Biblioteki Polskiej i archiwaliów Instytutu Sikorskiego i wówczas powstały moje eseje o Hemarze, prezydentach Ryszardzie Kaczorowskim, Edwardzie Raczyńskim i Kazimierzu Sabacie, o twórcy polskiej kliniki lekarskiej w Londynie – Emilu Niedźwirskim, o dziennikarzu i publicyście – Karolu Zbyszewskim oraz duża monografia pt. „Z Kijowa na Piccadilly" o rodzinie Zabłockich. Na łamach londyńskiego

„Tygodnia Polskiego” i „Orła Białego” opublikowałem kilkadziesiąt artykułów, głównie o ludziach „polskiego Londynu”.



1Rodzina Niciejów (od prawej): Halina i Stanisław, ich córki – Wisłomira i Ariadna, synowa Małgorzata oraz wnuki – Tycjan i Owidiusz

Wiele Pan zawdzięcza małżeństwu z Haliną (z domu Romuzga), która jest naukowcem matematykiem. Znają się Państwo od czasów szkolnych, razem odwiedzali Wołyń, Podole i Galicję Wschodnią. Działają Państwo wspólnie – i są tego wspaniałe wyniki.

Miałem życiowe szczęście, spotykając na progu mych

zainteresowań inną płcią, bo już w pierwszej klasie liceum, kobietę mego życia – o niezwykłej urodzie i zdolnościach intelektualnych. Jesteśmy symbiozą. Od 50 lat pracujemy razem, uzupełniamy się. Ja mam naturę rozwichrzoną, emocjonalną, ona stonowaną i pragmatyczną. Mnie ponosi temperament, ona mocno stoi na ziemi. Mogę powołać się na przykład Jerzego Antczaka – znakomitego polskiego reżysera, który pisząc o swoim małżeństwie z Jadwigą Barańska wybitną aktorką, stwierdził, że spotkało go szczęście, iż mając naturę impulsywną jak wulkan i zmienną w nastrojach, ma żonę zorganizowaną „jak kancelaria III Rzeszy". Podobnie jest w moim małżeństwie. Pragmatyzm żony stabilizuje moje życie. Przemierzyliśmy Kresy wzdłuż i wszerz. Nakręciliśmy wspólnie kilkadziesiąt filmów. Zbudowaliśmy dwa domy – w Opolu i wiejski dworek w Pępicach, na granicy Górnego i Dolnego Śląska. Wykształciliśmy i wyposażyliśmy trójkę dzieci. W obu domach są duże księgozbiory i ogromne archiwa dokumentów kresowych. To wspólne pisanie i redagowanie książek może trwać tak długo, dopóki będziemy sprawni i zdrowi – i ja, i żona.

Ukazały się także dwa tomy Księgi Jubileuszowej, które ofiarowano Panu w 45-lecie pracy naukowej i organizacyjnej: „Dowód Istnienia" i „Nicieja – dziejopis – komentator i polemista – mistrz słowa". Piękna to rocznica, prawda?

Jest w Polsce piękna tradycja uniwersytecka, że z okazji jubileuszu uniwersytet obdarowuje swego profesora księgą pamiątkową. I mój uniwersytet wydał taką dwutomową księgę zredagowana przez moich uczniów-profesorów – Danutę Kisielewicz i Mariusza Sawickiego. Zamieszczono tam prawie pełną bibliografię moich prac – ponad 40 książek i około 1000 artykułów, zebrano wypowiedzi na mój temat, m.in. tak wybitnych postaci, jak Stanisław Lem, Ryszard Kapuściński, Wiesław Myśliwski, Jerzy Janicki, Janusz Majewski czy Andrzej Mularczyk. Ozdobiono tę księgę ponad 600 fotografiami, z postaciami, z którymi miałem kontakt osobisty. Spotkał mnie zaszczyt udokumentowania przez uniwersytet mego dorobku życiowego. Te dwa tomy księgi jubileuszowej są rzeczywiście „dowodem mego istnienia" (jest to cytat z sentencji, która jest wypisana na frontonie mego dworku „Niciejówka" w Pępicach. Sentencja ta brzmi: „Gdy cię spytają, jaki jest dowód twego istnienia, co odpowiesz?") Więc ta księga jubileuszowa jest takim dość precyzyjnym dowodem mego istnienia na powojennym Śląsku i w Opolu. A może i szerzej?



Prof. Stanisław Nicieja z wydawcą „Kresowej Atlantydy” – Bogusławem Szybkowskim na Zamku Królewskim w Warszawie po otrzymaniu Nagrody KLIO za edycję tej serii książek

Nie stroni Pan również od trudnych tematów – np. czystki etnicznej o znamionach ludobójstwa – czy zbrodni dokonanych na Polakach na Wołyniu (1943) i w Małopolsce Wschodniej. Podejmuje Pan temat akcji „Wisła” (1947).

Sprawa rzezi wołyńskiej, ale też podolskiej i pokuckiej to wielki cierń w stosunkach polsko-ukraińskich. Od pokoleń nieusunięty przez polityków polskich i ukraińskich, przez ich nieumiejętność rozwiązania tej sprawy. Mijają lata, a jesteśmy prawie w tym

samym punkcie. W moich książkach ukazuję ogrom tej zbrodni i daję setki konkretnych, niepodważalnych dowodów, że było to ludobójstwo. Nie jestem historykiem dworskim, nie interesuje mnie, kto teraz Polską rządzi i jaką politykę historyczną narzuca konkretny minister edukacji. Jestem jako historyk niezależny, bo żadnej z moich książek nie dotowała żadna opcja polityczna – ani z prawa, ani z lewa. Mogę wydawać kolejne tomy tylko dlatego, że poprzednie miały swych czytelników i zwróciły się koszty ich druku, A są one niemałe, bo wydawca, Bogusław Szybkowski, wydaje „Kresową Atlantydę" na najlepszym papierze, z doskonałymi skanami fotografii, w kolorze i ze znakomitymi jakościowo twardymi okładkami. Piszę w tych książkach o sprawach kontrowersyjnych, starając się o maksymalny obiektywizm i szeroki kontekst obyczajowo-historyczno-polityczny.

Powtarza Pan często, że trzeba pamiętać o korzeniach. Przypomniał Pan wypowiedź swojego wuja, który przytoczył słowa prezydenta Johna Kennedy'ego z 1961 roku: „Moi rodacy, nie pytajcie, co kraj może zrobić dla was, pytajcie, co wy możecie zrobić dla swego kraju". Przytacza je Pan kilka razy – jako rozumienie patriotyzmu.

Mam głębokie przekonanie, że należy znać swoje korzenie rodzinne. Należy szczycić się tymi, którzy imponowali szlachetnością, mądrością i zostawili po sobie ważne dokonania.

Nowoczesne społeczeństwa muszą się opierać na wartościach niepodważalnych, sprawdzonych, bo bez nich trudno budować przyszłość. Społeczeństwo to – by użyć metafory – nie jakaś termitiera, mrowisko, w którym żyją istoty, które się napełniają i opróżniają, nie mają żadnej nazwy, nawet x czy y, mają swój czas biologiczny i nagle giną, przemijają, nie zostawiając śladu. Takie społeczeństwo nie ma racji bytu. Musimy wiedzieć skąd przyszliśmy, jaką drogą idziemy i gdzie oraz z kim chcemy dalej iść. I takie przykłady o tym skąd przyszliśmy i co zostawiliśmy po sobie są we wszystkich moich książkach, z 17. tomami „Kresowej Atlantydy" na czele. Cytat z wypowiedzi Kennedy'ego, do którego często wracam, jest rzeczywiście dla mnie esencją patriotyzmu. Nie żądam od mojego państwa, żeby coś mi dało, ale staram się moją pracą w jakimś skromnym wymiarze o coś mój kraj wzbogacić.

Co dalej – Panie Profesorze?

Jeżeli będzie nam (i żonie, i mnie) służyło zdrowie i nie ostygnie mi wyobraźnia, to będziemy posuwać się w realizacji centralnego zamierzenia – opisania historii miejscowości, które Polska utraciła po II wojnie światowej oraz przypomnienia wielu mieszkającym dziś nad Odrą, Nysą Łużycką, Notecią czy Wartą o ich kresowych korzeniach.



Halina i Stanisław Niciejowie przed swoim dworkiem w Pępicach

Wywiad w skróconej formie ukazał się w nowojorskim „Nowym Dzienniku” (09. 02. 2022 r.).

Uczony jest zawsze do pewnego stopnia dziwakiem



prof. Walentyna Sobol

Z prof. dr hab. Walentyną Sobol – redaktor naczelną rocznika „Studia Polsko-Ukraińskie”, kierownikiem pracowni Dziejów polsko-ukraińskich stosunków

literackich w Katedrze Ukrainistyki Uniwersytetu Warszawskiego (Wydział lingwistyki stosowanej) – rozmawia Aleksandra Ziółkowska-Boehm.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm: W 1998 roku przyjechała Pani do Polski, zaproszona na Kongres Slawistów w Krakowie. Jakie było pierwsze wrażenie – Pani Walentyno – w czasie tych odwiedzin?

Walentyna Sobol: W 1998 roku w Krakowie miał się odbyć XII Międzynarodowy Kongres Slawistów. Zaproszenie do udziału było dla mnie wydarzeniem. Był to wstrząs, naprawdę, gdy po raz pierwszy w życiu zobaczyłam piękny Kraków, Uniwersytet Jagielloński, Wawel, kiedy poznałam osobiście badaczy, których książki czytałam, jak: Ola Hnatiuk, Stefan Kozak, Bazyli Nazaruk, Agnieszka Kornijenko i wielu innych. Chcę wymienić także prof. Hansa Rothe, który w 1976 w Giessen wydał dwa tomy *Die älteste ostslawische Kundtdichtung* – opracowania i teksty poetyckie dotyczące baroku ukraińskiego – baroku literackiego, na temat którego badania zaczęły się tuż przed uzyskaniem niepodległości Ukrainy.

W czasie pracy Kongresu zorganizowano wyjazd delegatów i uczestników do Wadowic, do muzeum Jana Pawła II; było to niesamowite przeżycie.

Wybór własnej historii oznacza – pisze Józef Tischner – *że pewne wydarzenia odsuwamy na plan dalszy, inne stawiamy sobie w sposób szczególny przed oczy jako jakiś wzór*. Taki wzór – wzór nauki na poziomie slawistycznym międzynarodowym – powstał przed moimi oczami w Krakowie na Kongresie Slawistów w roku 1998.

W Krakowie przedstawiła Pani twórczość Wasyla Stusia.

Tak, w Krakowie opowiadałam kolegom o wybitnym poecie – Wasylu Stusie (1938-1985) – absolwencie i dumie Uniwersytetu Narodowego Donieckiego, w którym wtedy pracowałam. Mówiłam, że to on, poeta, filozof i obrońca praw człowieka ze Wschodniej Ukrainy, był prawdziwym Europejczykiem, wielbicielem i tłumaczem Goetego, Rilkego. Filozofia egzystencjalizmu głosiła wielką wartość człowieka, tymczasem Wasyl Stus przez 23 lata był więziony i zginął w łagrach. Wielkim dla mnie prezentem okazał się wydany właśnie w Krakowie w 1996 r. tomik w języku polskim *Poezja Wasyla Stusa. Wstęp, wybór i tłumaczenie artykułów Agnieszka Kornijenko*. Semem Głuzman, także więzień sowieckich łagrów, będąc 20 dni w jednej celi ze Stusem, zapamiętał jego wiersze i ocalił je od zniszczenia przez strażników.

Mimo że Ojczyzna jest dla nas darem, jej los od nas zależy. Sprawa Ojczyzny ciąży u naszego sumienia – ta zasada

była zrozumiała przez Stusa i Głuzmana, inni potrzebowali dojrzeć do jej uświadomienia.

> Na kołymskim mrozie kalina
>
> kwitnie rudym bukietem łez.
>
> dzień swój bezmiar słoneczny rozpina,
>
> Sobór wdzięczny – swą twarz Ukraina?
>
> na więziennych murach nakreśla.
>
> *
>
> O, Boże, skąd aż tyle mej rozpaczy
>
> i samotności, która nie zna granic.
>
> Nie mam ojczyzny. Oko bada granie,
>
> wśród przepaści pragnę drogę wypatrzyć.
>
> Oto – mój znak powrotu. Albo – nie.

> Oto mój szlak. Na koniec świata płynąć.
>
> Przebacz, kochana moja Przykraino,
>
> I, matko, nie przeklinaj mnie.
>
> Poszedłem precz. Na oślep. Gnany szałem
>
> Poszedłem precz, z wściekłości już zmęczony.
>
> Różowe szczyty, w lodach uwięzione,
>
> a ponad nimi – stado wron czerniało.
>
> I ślepnie wieczór. Linia gór – i
>
> niby z kartonu wykrojone ich kontury,
>
> i cała twoja droga – w dół lub w górę.
>
> Temtędy iść. Iść tedy. Iść

Cytuję wiersz z tomu Stusa *Palimpsesty* w tłumaczeniu z ukraińskiego na polski profesora Bazyliego Nazaruka, z którym poźniej współpracowaliśmy w Katedrze Ukrainistyki UW. Razem

z wybitnym badaczem Stefanem Kozakiem, założycielem i redaktorem naczelnym rocznika „Warszawskie Zeszyty Ukrainoznawcze”, współredagowaliśmy znane w naukowym świecie tomy. W latach 1990-2009, kiedy profesor był kierownikiem Katedry Ukrainistyki, ukazało się 26 tomów.

Vasyl Stus – jak Pani przypomina- zapłacił straszną cenę za swoją niezależną twórczość.

Poeta został zamordowany 4 września 1985 w łagrach, jest jednym z licznych ukraińskich pisarzy, którzy przez niemal siedemdziesiąt lat byli zamykani w więzieniach, niszczeni i rozstrzeliwani. 9 lutego 2017 Rada miasta zdecydowała o nadaniu imienia Wasyla Stusa skwerowi w centrum Warszawy. To takie miłe mojemu sercu, mijam zawsze skwer Stusa po drodze do ukochanej Biblioteki Narodowej. Ucząc studentów na Uniwersytecie Donieckim przez 17 lat, miałam prawdziwy zaszczyt pracować wspólnie w jednej katedrze z prof. Fenią Dmytriwną Pustową, która znała Stusa jako studenta. Została na zawsze w mojej pamięci jako symbol sumienia wydziału filologicznego i naszej Katedry Literatury Ukraińskiej i Folklorystyki Narodowego Uniwersytetu Donieckiego. Obecnie ten Uniwersytet nosi imię Wasyla Stusa, ale znajduje się w związku z wojną na Wschodzie Ukrainy – w Winnicy.

Jeszcze jednym przeżyciem powiązanym z Kongresem Slawistów

w Krakowie było otrzymanie pocztą – już w Doniecku – cennej przesyłki: prof. Hans Rothe podarował wydane w Niemczech dwa tomy dawnej poezji ukrainskiej *Die älteste ostslawische Kundtdichtung;* to prawdziwy skarb naukowy dla badacza historii literatury i kultury od X-XVIII wieku.

Od wielu lat jest Pani związana z Uniwersytetem Warszawskim, jest Pani profesorem zwyczajnym katedry ukrainistyki.

Po raz pierwszy przyjechałam z wykładami na Uniwersytet Warszawski w 2000 roku na zaproszenie kierownika Katedry Ukrainistyki prof. Stefana Kozaka, wybitnego badacza. Wtedy zaczął się okres warszawski.

Warszawa otworzyła dla mnie nowy poznawczy poziom, dała dużo kontaktów z bardzo ciekawymi ludźmi. Od tego czasu z wieloma jestem zaprzyjaźniona, na przykład z profesor Teresą Chynczewską-Hennel. Ona jest – moim zdaniem – jedną z tych wielkich kobiet, dzięki którym, na przykład, nastąpił „złoty wiek konwersacji" (jak pisała o pierwszych dziesięcioleciach XVII w. we Francji Benedetta Craveri).

„Złoty czas konwersacji" nastąpił i dla mnie również dzięki przyjaźni – zarówno ze wspomnianą już Teresą Chynczewską-Hennel, jak i jej mężem – prof. Andrzejem Hennelem, Alicją

Wołodźko-Butkiewicz, Dorotą Urbanek, Anną Nasiłowską, Ludmiłą Łucewicz, Danutą Sosnowską, Żanetą Nalewajk-Turecką, Bogumiłą Berdychowską, Piotrem Borkiem, Katarzyną Błachowską, Mariuszem Ławskim, Anną Janicką, Mirosławem Nagielskim, Agnieszką Matusiak, Mariuszem Drozdowskim, Piotrem Krollem, Katarzyną Jakubowską-Krawczyk, Dawidem Bzorkiem, Anną Kizińską, Anną Antoniuk, Ludmiłą Siryk, Haliną Korbicz, Małgorzatą Karoliną Piekarską, Urszulą Olbromską, jej mężem Mariuszem, czy prof. Grzegorzem Nowikiem.

Przyszedł cudowny, chociaż i niełatwy (zawsze miałam i mam dużo pracy) owocny czas udziału w konferencjach naukowych, kongresach slawistów w Ochredzie (2008), Mińsku (2013) i serbskim Belgradzie (2018), ale także wspólnych – z Teresą Chynczewską-Hennel – wycieczek do Rzymu, Padwy, Wenecji.

Od roku 2013 współpracujemy z Teresą Chynczewską-Hennel, Mariuszem Drozdowskim, Dawidem Bzorkiem również w Pracowni Polsko-Ukraińskich stosunków literackich na Uniwersytecie Warszawskim. W tej Pracowni ukazało się już siedem tomów rocznika naukowego „Studia Polsko-Ukraińskie”, którego od roku 2014 jestem redaktorem naczelnym. Pismo teraz jest na „liście ministerialnej”.



Od lewej: Danuta Sosnowska, Andrzej Hennel, Dawid Bzorek, Walentyna Sobol, Teresa Chynczewska-Hennel, Bazyli Nazaruk

Warszawski okres zatem pięknie się rozwinął. Opublikowała Pani wiele prac...

W Warszawie miałam możliwość pogłębienia znajomości języka łacińskiego, o czym zawsze marzyłam. Instytut Filologii Klasycznej na Uniwersytecie Warszawskim oferuje zajęcia nie tylko z łaciny, ale i greki! Jestem pod dużym wrażeniem podręcznika *Porta Latina Nova* autorstwa Stanisława Wilczyńskiego, Ewy Pobiedzińskiej, Anny Jaworskiej oraz tekstów

w *Gramatyce greckiej* dwóch ’wybitnych Marianów – Mariana Auerbacha i Mariana Goliasa. Nigdy wcześniej nie przypuszczałam, jaką przyjemnością może się stać nauczanie nawet tylko alfabetu greckiego z 24 nieśmiertelnych liter… Podobno język łaciński, który był jednym z najważniejszych w Akademii Kijowsko-Mohylanskiej od XVI-XVIII w., ma powrócić do szkoły wyższej na Ukrainie, nie tylko o profilu medycznym. Mamy podręczniki, na przykład *Latynska mowa* (Латинська мова, 2002) autorstwa Natalii Jakowenko i Walentyny Myronowej, a także *Latynsko-ukrainskyj slownyk* (Латинсько-український словник, 2001) autorstwa Myrosława Trofymuka i Oleksandry Trofymuk. Chcę także wymienić pracę nowatorską (w roku 1966, kiedy takie tematy na Ukrainie były zakazane) – wydaną w Krakowie, prof. Ryszarda Łuźnego: *Pisarze kręgu Akademii Kijowsko-Mohylańskiej a literatura polska; z dziejów związków kulturalnych polsko-wschodnio-słowiańskich w XVII-XVIII w.”*

Nauka i poziom wiedzy przydała mi się, kiedy w 2012 r. pracowałam w Archiwum spraw zagranicznych w Paryżu.

W Warszawie spełniło się moje „szczęście naukowe”, kiedy w jednym z moich ulubionych czasopim „Teksty drugie” (2019, nr 5), ukazał się artykuł „Emigrant jako podróżnik. Świadectwa Sofii Jabłońskiej o Ołeksandrze Koszycu”. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne (WSiP) w latach 2005-2008 wydrukowały cztery

podręczniki mojego autorstwa. Wydawnictwo „Tyrsa” w 2004 r. opublikowało moją pracę monograficzną *Pamjatna knyha Dmytra Tuptała* („Пам’ятна книга Дмитра Туптала”), razem z tekstem dziennika, który udało sie odnaleźć wcześniej w bibliotece Moskwy.

Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego (WUW) w roku 2015 i 2018 – wydały dwie moje książki: *Ukrainske baroko. Teksty i konteksty* (Українське бароко. Тексти і контексти, 2015) i *Ołeksandr Koszyc i jego dziennik „Z pieśnią przez świat”*, 2018). Kolejna przygotowywana książka, o Filipie Orliku, też się ukaże w Wydawnictwach Uniwersytetu Warszawskiego.

Aż się prosi, by zacytować jednego z największych w historii nauki polskiej uczonego-fizyka Marcina Smoluchowskiego: – *Uczony jest zawsze do pewnego stopnia dziwakiem, wpatrzonym w swoją naukę, ignorującym względy życia codziennego…*

Wiem, że ma Pani dwoje dzieci i kilkoro wnuków…

Mam – w Dnieprze – jedenaścioro wnuków! Córka i jej mąż, ratując sieroty, adoptowali już dziewięcioro: 7 dziewczynek i 2 chłopców. Pilnują i uczą ich w założonym przez siebie rodzinnym domu dziecka. Początkowo było mi przykro, że są doktorami prawa, docentami, ale cały swój czas i serce poświęcają dla dzieci. Upłynął czas, teraz to oni są dla mnie

wzorem. Ich decyzja adopcji, kiedy pierwsze dziecko z sierocińca pojawiło się u nich w 2015 roku, była dla mnie dużym zaskoczeniem. Pracowałam wtedy w archiwum Ołeksandra i Tetiany Koszyców w Winnipeg, raptem otrzymuję od córki zdjęcie małej chorej dziewczynki, zabranej przez córkę z sierocińca… Siostry zakonne Betanki, u których mieszkałam w czasie wyjazdu naukowego do Kanady, modliły się nie tylko za te osierocone słabiutkie dziecko, ale… i za mnie, żebym doceniła decyzję córki i była dumna z mojego dziecka. Wtedy nie mogłam sobie wyobrazić, że to tylko początek kolejnych działań moich dzieci.

Działanie Pani córki jest niezwykłe, budzi podziw i respekt w każdym z nas.

Powiem szczerze (ludzie ze Wschodniej Ukrainy są otwarci). To był dla mnie najpierw wstrząs… Byłam dumna z naukowych sukcesów córki Oksany i Jej męża Serhija, doktorów prawa karnego w Dnieprze. A tu raptem… rodzinny dom dziecka; praca niesamowicie trudna, wymagająca całkowitego poświęcenia…

Najnowsza nowina z Dniepru, że trójka starszych dzieci, Aleksander, Waleria i Maria zaczynają się uczyć grze na gitarze.

Kiedy w sierpniu 2020 roku córka z rodziną adoptowała kolejne malutkie 6-miesięczne dziecko, jeszcze jedną Irenkę, wyznałam

sobie ze wstydem, że to jest właśnie dla mnie ważna lekcja od życia. Jak powiedział Seneca: *longum iter est per praecepta, breve et efficas per exempla*. (Długa droga przez pouczanie, a krótka przez wzór). Otóż, ja nauczyciel akademicki, który przepracował już ponad 40 lat ze studentami, czuję się teraz uczennicą mojej własnej córki… Jak nie podziękować Martialisowi, który zostawił dla nas taką sentencję: *Semper homo bonus tiro est*. (Dobry człowiek jest zawsze początkującym). Po tym, co przeżyłam teraz, muszę ponownie i bardziej wnikliwie przeczytać książkę: Jean M. Twenge**,** *iGen. Dlaczego dzieciaki dorastające „w sieci" są mniej zbuntowane, bardziej tolerancyjne, mniej szczęśliwe – i zupełnie nieprzygotowane do dorosłości. I co to oznacza dla nas wszystkich* **.** Pragnę zrozumieć głębiej nie tylko moich najmłodszych studentów i doktorantów, a także to, co się dzieje z nami wszystkimi, ze światem, któremu brakuje dobroci i miłosierdzia.

Które książki wpłynęły na Pani percepcję kultury polskiej, proszę je przywołać.

To były książki cudowne dla mnie – z innym niż dotychczas duchem, z inną treścią, sensem i recepcją.

Pozytywnym szokiem dla mnie, badaczki historii literatury ukraińskiej ze Wschodniej Ukrainy, z Uniwersytetu w Doniecku,

była lektura książki Ewy Thompson. W roku 2000 o tej książce jeszcze chyba nie było szeroko wiadomo w innych słowiańskich krajach. Przekład Marii Korczyńskiej na język ukraiński ukazał się w wydawnictwie Sołomii Pawłyczko „Osnowy” w Kijowie w 2006 roku. Ta monograficzna praca Ewy Thompson *Trubadurzy imperium. Literatura rosyjska i kolonializm*, wydana była po polsku już w roku 2000 w Krakowie. Od tej pracy – dla mnie odkrywczej – ciężko było oderwać wzrok i wyciszyć emocje.

Następna – jakże pasjonująca – to książka *Literatura europejska i łacińskie średniowiecze* Ernsta Roberta Curtiusa. Było mi przykro i wstyd, że wydana po raz pierwszy w 1954 r., trafiła do moich rąk w 2000 roku. I w tej oto książce Curtius cytuje metaforę św. Augustyna o duszy – dusza miota się na wszystkie strony, „na plecy, na boki i na brzuch” (s.146). Przeczytałam prawdę o stanie mojej duszy w nie zawsze przyjaznym dla przedstawicielki kultury ukraińskiej Doniecku.

Kolejno duże wrażenie wywarły na mnie także książki: Anne Applebaum *Czerwony głód, Gułag, Za żelazną kurtyną i* Richarda Pipsa *Rosja bolszewików.*

Moje archiwalne badania w Kanadzie, Warszawie, Krakowie przyniosły mi wiele wrażeń, wiele informacji, czasem bardzo bolesnych. Na przykład, kiedy przeczytałam, że „tożsamość narodowa Ukraińców została poważnie wzmocniona przez

pamięć wyreżyserowanego przez Sowietów głodu w latach 1932-33, kiedy to około dziesięciu milionów Ukraińców straciło życie” .

Wtedy, w 2000 roku, przeraziłam się, że aż dziesięć milionów! O trzech głodach w Ukrainie w XX wieku (pierwszy w roku 1921, drugi – w 1933, trzeci – w 1947) – opowiadano szeptem. Informacje były wyciszane, było dużo niedomówień, zakazów i kłamstw.

Piętnaście lat później, w 2015 r. w Canadian Museum for Human Rights, zaskoczył mnie film o głodzie w Ukrainie – pokazywany jest w językach angielskim, francuskim i ukraińskim pt. *Terytoria Holodomoru: pamjat newmyruszcza (Територія Голодомору: пам’ять невмируща).*

Zaprzyjaźniłam się z Oksaną Rozumną, wdową po profesorze Jarosławie Rozumnym (w latach 1970-80. kierownikiem wydziału ukrainistyki na Uniwersytecie w Winnipeg). To małżeństwo Rozumnych zrobiło bardzo dużo dla historii Ukrainy. Od nich dowiedziałam się, że ofiar było prawdopodobnie 12 milionów. W 1984 w Winnipegu powstał pierwszy pomnik poświęcony pamięci ofiar.

Rosja wciąż kwestionuje tę tragedię.

Jak wiadomo, do dnia dzisiejszego Rosja nie zgadza się z taką liczbą. Już w roku 2015 w Winnipegu prof. Mirosław Szkandrij zaprosił mnie do Canadian Museum for Human Rights, gdzie dowiedziałam się o blisko 12 milionach ofiar Czerwonego Głodu na Ukrainie w latach 1932-1933. Jesienią 2019 r. wspólnie ze studentami obejrzeliśmy genialny film Agnieszki Holland *Obywatel Jones*. Książka *Gareth Jones. Człowiek, który wiedział za dużo* Mirosława Wlekłego, wydana w krakowskim wydawnictwie „Znak" w 2019 r., dopełniła ten film, dużo dała do zrozumienia – że prawda, niestety czasem z wielkim opóźnieniem, ale zawsze zwycięży.

Na szacunek i wdzięczność zasługuje wielki czyn Garetha Jonsa (1905-1935), absolwenta Universytetu w Cambridge, który w sierpniu 1930 roku podczas pierwszej podróży do Związku Radzieckiego – pociągiem przez Berlin i Warszawę – odwiedził nie tylko Moskwę, Rostow nad Donem, ale miasto Donieck, które wtedy nazywało się Juzowka! Ten młody dziennikarz miał odwagę po raz drugi, i po raz trzeci, odwiedzić Ukrainę. Na konferencji prasowej w Berlinie, Gareth Jones ujawnił ofiary i skalę wielkiego głodu na Ukrainie. I to wtedy, kiedy tym doniesieniom zaprzeczał w „New York Times" „bohater kłamstwa" Walter Duranty.

Jestem przekonana, że Ukraina zawsze będzie wdzięczna za czyn godny podziwu Garetha Jonsa zamordowanego 12 sierpnia

1935 za to, że wiedział „za dużo”, że miał odwagę powiedzieć światu o wielkim głodzie. Tablica pamiątkowa, zafundowana 2 maja 2006 roku na budynku uniwersyteckim w Aberystwyth w Walii, gdzie Gareth Jones studiował w latach 1922-1923, przemawia do ludzi w kilku językach, również ukraińskim. Przytoczę w języku angielskim:

In memory of Gareth Richard Vaughan Jones, born 1905, who graduated from the University of Wales, Aberystwyth and the University of Cambridge. One of the first journalists to report on the Holodomor, the Great Famine of 1932-1933 in Soviet Ukraine .

Jak polskie opracowania pokazują tę tragedię?

Nie tylko teraz, ale i w najtrudniejszych latach reżymu totalitarnego w Ukrainie Radzieckiej, Polska pomagała przetrwać kulturze sąsiadów, w tym ukraińskiej. To właśnie w Polsce 7 marca 1930 roku powstał Ukraiński Naukowy Instytut, który aktywnie działał w Warszawie w międzywojennym dwudziestoleciu. Działał aż do wybuchu drugiej wojny światowej, do 1939 r.



Hetman kozacki Filip Orlik, fot. wikimedia commons

W wydawniczej serii filologicznej ukazały się dzienne ukraińskie tłumaczenie kroniki Marcina Bielskiego (tom XXIX), jedna z najlepszych prac monograficznych o „ukrainskim Sokratesie" filozofie Hryhoriju Skoworodzie (1722-1794) Dmytra Czeżewskiego *Filozofia H. S. Skoworody,* 16 tomów Tarasa Szewczenki i innych. Zdaniem badaczy, wydawniczy dorobek Ukraińskiego Naukowego Instytutu w Warszawie w latach 1930-1939 jest niemal najpoważniejszym pośród wydanych na emigracji prac. To właśnie w Ukraińskim Instytucie Naukowym w Warszawie w 1936 r. w serii historycznej Jan z Tokar Tokarzewski Karaszewicz przygotował do druku pierwszą część dziennika : *Diariusz* Filipa Orlika z lat 1720-1723. Rok później, w 1937, ukazała się praca monograficzna Borysa

Krupnyckiego *Hetman Filip Orlik (1672-1742). Zarys działalności politycznej* (tom XLII). Zaznajomienie z tym zabytkiem-dziennikiem, z pracami o pierwszym ukraińskim emigrancie – hetmanie Filipie Orliku, o którym dziewiętnastowieczny badacz Franciszek Rawita Gawroński pisał jako o „najwykształceńszym, jakiego kiedykolwiek Ukraina posiadała” .

To wszystko głeboko zainspirowało mnie do odnalezienia oryginału rękopisu diariusza w całości.

W Bibliotece Narodowej w Warszawie najpierw udało się opracować mikrofilm kopii dziennika, ale niestety kopia diariusza zrobiona była w pośpiechu i bardzo skrócona. Ma błędy – na przykład „grochu boskiego”, zamiast „Grobu Boskiego”… Jednak zespół trzech anonimowych polskich paleografów, którzy w roku 1830 zrobili kopię rękopisu – i to oni, nieznani dziewiętnastowieczni zakonnicy, nauczyli mnie rozumieć i rozszyfrowywać pismo ręczne, trzy różne style tego pisma. Chociaż później pracując z oryginałem tekstu diariusza i porównując ze wspomnianą kopią, zauważyłam dużo błędów; jednak zrozumieć rękopis Orlika pomogli mi właśnie ci nieznani paleografowie.

Na ten temat piszę w jednym z moich – mam ich ponad 20 – artykułów poświeconych Orlikowi. Napisałam np. artykuł, w którym porównałam z rekopisem tekst (faksymile wydane w

Harwardzie) diariusza Orlika z kopią anonimowych polskich paleografów odnalezioną w Bibliotece Narodowej. Artykuł został wydrukowany w 2009 r. w donieckim czasopiśmie *East* . Ten „analytic and informative journal" pod redakcją Włodzimierza Bileckiego – wybitnego uczonego w dziedzinie nauk technicznych jest wydawany od roku 1995 do dnia dzisiejszego. Jego poświęcenie i pracę w warunkach wojny na Wschodzie Ukrainy uważam za cud.

Dotrzeć w roku 2012 do oryginału dziennika znajdującego się w Paryżu w archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych Francji, pomogła mi pisarka Natalia Zamułko-Duboushet, autorka szczerych autobiograficznych książek w języku rosyjskim *Obca nacja (Чужая нация) Granica deszczu (Граница дождя)* i licznych wierszy w języku ukraińskim. Mieszkająca od ponad 45 lat we Francji Natalia Zamułko-Duboushet opowiadała o szkoleniach dla pisarzy na Sorbonie – dla autorów tworzących w języku rosyjskim. Niestety, nie ma czegoś takiego dla piszących w języku ukraińskim.

Magiczny Paryż jest zdolny zaczarować każdego.

Proszę przybliżyć – kim był Filip Orlik?

Los Orlika (1672-1742) można porównać, jak się wydaje, do przywódcy rewolucji węgierskiej, węgierskiego bohatera

narodowego, jakim był Lajos Kossuth (1802-1894). Węgierski szlachcic, gubernator Węgier, prawnik, przewodniczący komitetu Obrony Ojczyzny, zmarł w emigracji. Jak i hetman Orlik.

Zaryzykuję porównanie z Tadeuszem Kościuszko (1746-1817), bohaterem Polski, Stanów Zjednoczonych Ameryki i Białorusi, który dostał się do niewoli, został uwięziony w Petersburgu w Pietropawłowskiej twierdzy, zmarł na emigracji, nie udało mu się – jak i Orlikowi – zobaczyć wolnej ojczyzny. Jednak obaj o tym marzyli…. Przeraziło mnie to, że będąc świetnym pianistą Kościuszko skomponował walc i dwa polonezy dedykowane armii polskiej. A kiedy on to zrobił? Podczas niewoli rosyjskiej. Na Ukrainie są teraz ulice i Orlika i Kościuszki. A Filip Orlik zaraz po odzyskaniu niepodległości przez Ukrainę stał się bohaterem narodowym Ukrainy i Białorusi. Natomiast bohaterem Francji jest jego starszy syn – feldmarszałek Ludwika XV Grzegorz Orlik (1702-1759). Zginął za wolność Francji jako francuski dowódca wojskowy. (Właśnie kupiłam książkę Iryny Dmytryszyn *Hryhorij Orłyk abo Kozacka nacija u francuzkij dyplomatii* (Ина Дмитришин, *Григорій Орлик або Козацька нація у французькій дипломатії)*[11].

Kolejnym zdumieniem, już w czasie pracy w Katedrze Ukrainistyki UW w Warszawie, była możliwość opowiadania studentom pierwszego roku o najdawniejszych latopisach Rusi

Kijowskiej, trzymając w ręku i udostępniając nie tylko wydane na Ukrainie teksty i opracowania . Także ważne jest wydanie w języku polskim staroruskiego latopisu: „Powieść minionych lat". tłumaczonego przez wybitnego profesora Franciszka Sielickiego, a także jego opracowania na temat kulturalnych stosunków polsko-ukraińskich w czasach najdawniejszych. Przecież to ponad 1000 lat sąsiedztwa Polski i Ukrainy!

Dodam, że w 1990 roku pod redakcją Stanisława Stępnia ukazał się pierwszy tom serii pod tytułem: *Polska-Ukraina. 1000 lat sąsiedztwa. Studia z dziejów chrześcjaństwa na pograniczu etnicznym* – [13].

Gdyby częściej o tym pisać i rozmawiać, to może skuteczniejsze byłyby głosy, w tym ukraińskie, w chórze, o którym mówi Pani, Pani Aleksandro, w ciekawym wywiadzie Beaty Bednarz *Pisanie jest moją pasją* w związku z otrzymaniem tytułu – gratuluję serdecznie! – Wybitny Polak w USA:

> Myślę, że ciekawa byłaby książka, aby wybrane grupy narodowościowe w Stanach Zjednoczonych napisały o swoich przeżyciach, jak się czuły będąc upokarzane i wyśmiewane. Powstałby jeden wielki chór. Polacy w moim pojęciu – nie mają się źle. Oczywiście to zależy od środowisk, ale interesują mnie Amerykanie otwarci na świat, na inne

> kultury .

Zgadzam się, marzę o tym, żeby było więcej otwartości na inność sąsiedniej kultury, literatury i ze strony polskiej, i ze strony ukraińskiej.



Fot. Alexas_Fotos from Pixabay

*

---

[1] Józef Tischner. *O człowieku. Wybór pism filozoficznych, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich,* Wrocław 2013, s. 636.

[2] Ibidem, s. 634.

[3] *Poezja Wasyla Stusa. Wstęp, wybór i tłumaczenie artykułów Agnieszka Kornijenko,* TAiWPN Universiras, Kraków 1996, s. 66-67.

[4] Benedetta Craveri*, Złoty wiek konversacji*. Przełożyli Joanna Ugniewska i Krzysztof Żaboklicki, Oficyna naukowa, Warszawa 2009, s. 639.

[5] Jean M.Twenge. *iGen. Dlaczego dzieciaki dorastające w sieci są mniej zbuntowane, bardziej tolerancyjne, mniej szczęśliwe – i zupełnie nieprzygotowane do dorosłości. I co to oznacza dla nas wszystkich*. For the Polish translation by Olga Dziedzic. Smak Słowa sp. z o.o., Sopot 2019, 376 ss.

[6] Ewa M.Thompson, *Trubadurzy imperium. Literatura rosyjska i kolonializm*, Universitas, Kraków 2000, s.16.

[7] Mirosław Wlekły, *Gareth Jones, człowiek, ktory wiedzial za dużo,* Wydawnictwo „Znak", Kraków 2019, s. 302.

[8] *Diariusz hetmana P. Orlika*. Przygotował do duku Jan z Tokar Tokarzewski Karaszewicz, Prace Ukraińskiego Instytutu naukowego, Warszawa 1936, 200 ss.

[9] Franciszek Rawita Gawroński, *Filip Orlik jako hetman kozacki*, Biblioteka Warszawska. Pismo miesięczne, poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym, wrzesień 1899, Warszawa 1899.

[10] W. Sobol, *Помножені часом світи (факсиміле діаріуша Пилипа Орлика за 1724 рік і копія анонімних польських палеографів: порівняльний аналіз), (в:) Схід/ East, 2009, nr 8 (99), s.3-11.*

[11] Ірина Дмитришин, *Григорій Орлик або Козацька нація у французькій дипломатії.* Видавництво «Темпора», Київ 2019, 496 str.

[12] Na przykład, praca nad *Powieścą Minionych lat* Leonida Machnowca trwała niemal 47 lat, wydanie opracowanego przez niego latopisu stało się wydarzeniem w Ukrainie w roku 1989, kiedy jeszcze trwały zakazy rezimu totalitarnego: *Літопис Руський. За Іпатським списком переклав Леонід Махновець*, Видавництво «Дніпро», Київ 1989, XVI+ 591 s. W tym ogromnym tomie odnajdziemy i *Powieść minionych lat (s.1-178), i latopis Kijowski (s.178-367), i Halicko–Wołyński latopis (368-452)*, i nawet utwory Włodzimierza Monomacha (454- 464). Profesor Uniwersytetu w Kijowie Wasyl Jaremenko przeczytał tekst *Powieści minionych lat* jako rytmiczny, a dla dzieci adaptował ten cudowny latopis pisarz Wiktor Błyzneć.

[13] *Polska-Ukraina. 1000 lat sąsiedztwa. Studia z dziejów chrześcjaństwa na pograniczu etnicznym,* Pod redakcją Stanisława Stępnia, Przemyśl 1990, 286 ss.

[14] https://www.granice.pl/publicystyka/aleksandra-ziolkowska-boehm-wywiad/1484/1

Rozmowa ukazała się [w:] „Odra", marzec 2021 r.

Ingrid Bergman – opowieść rodzinna

Z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm na temat książki o wielkiej hollywoodzkiej aktorce – rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.



Ingrid Bergman, fotografia z dedykacją: TO NORMAN WITH MUCH LOVE, 1957 r., fot. arch. A.Z-B

W Twoim domu zachowała się korespondencja Ingrid Bergman z Twoim mężem – Normanem Boehmem. Jakie więzy pokrewieństwa ich łączyły?

Ojciec Ingrid – Justus, i babcia Normana – Blenda byli rodzeństwem. Zachowały się listy pisane przez Ingrid do Normana, do jego ojca, i do jego babci. Jest ich w sumie czterdzieści, wszystkie w języku angielskim.

Zanim postanowiłaś, że opublikujesz książkę na podstawie tej korespondencji, minęło 20 lat. Powiedz dlaczego był to dla Ciebie trudny temat?

Odkładałam napisanie książki „na później". Nie chciałam – niebawem po wyjściu za mąż – pokazać – pochwalić się jakby – że takie ładne mam koneksje. Chciałam także dojrzeć do tego tematu, dowiedzieć się więcej. Przeczytałam chyba wszystkie książki na temat wielkiej aktorki, a jest ich niemało. Posiadam w domu:

*John Russell Taylor: "Ingrid Bergman" (St. Martin's Press NY 1983);

*Laurence Leamer "As Time Goes by. The Life if Ingrid Bergman" (Harper and Row Publushers, New York 1986);

*Donald Spoto: Ingrid Bergman" (Harper Collins Publishers, New York 1997); Scott Eyman "Movie Icons –Bergman" (Taschen, Imprint 2009);

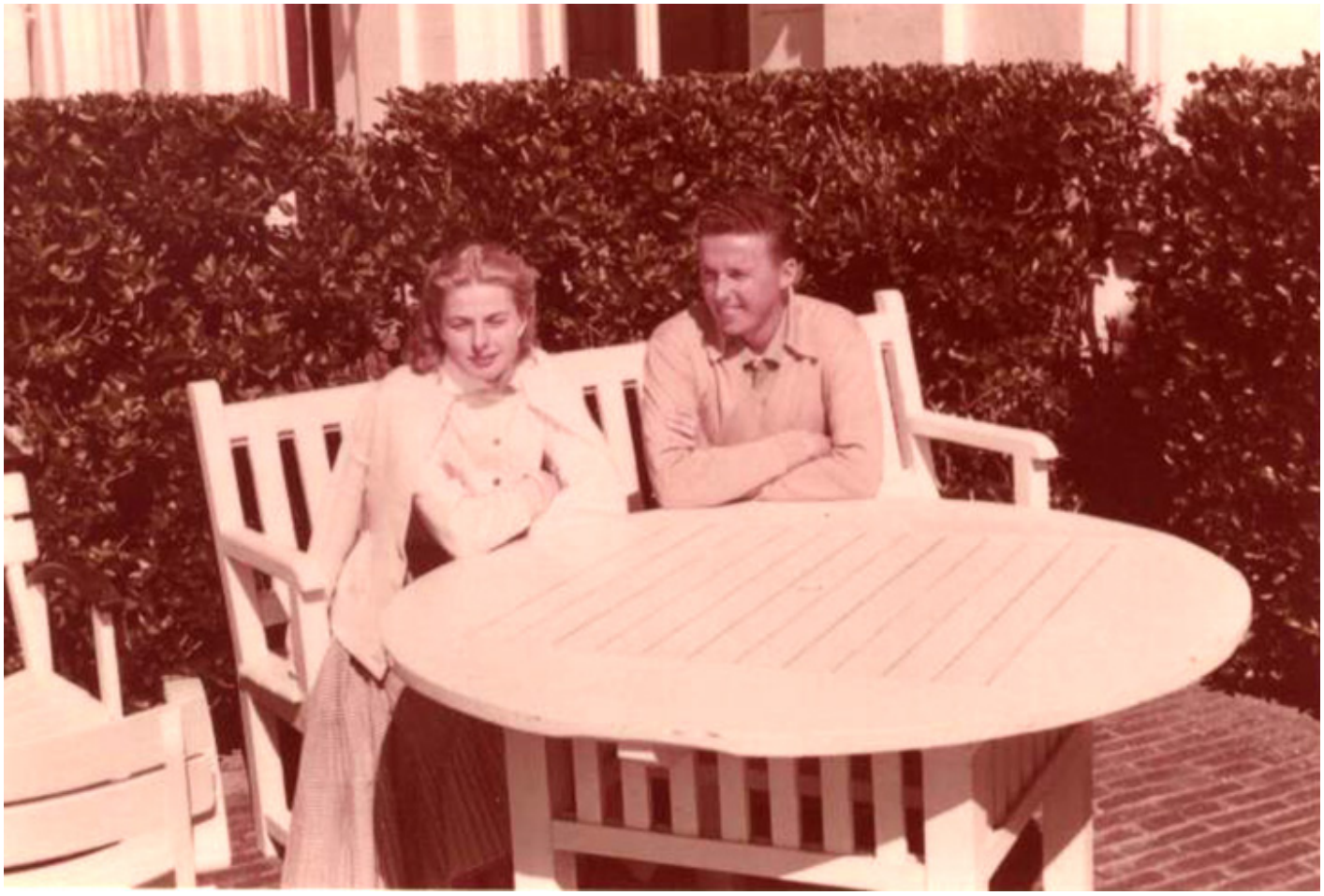
*Charlotte Chandler „Ingrid Bergman. A personal biography" (Simon and Schuster, 2007);

Na jednej z książek Norman napisał, jak ceni i cieszy się, że piszę o jego kuzynce:

> *4 August 2010*
>
> *My Dearest Aleksandra,*
>
> *I sincerely hope you will find another book about Ingrid Bergman useful for your writing project. That you have undertaken to write about her relationship with my family is most gratifying, and I am very appreciative.*
>
> *My love forever*
>
> *Norman*

Czas płynął, czytałam, ale przede wszystkim – słuchałam Normana opowieści o słynnej utalentowanej kuzynce, opowieści najpiękniejszej, bo opowiadał z wielką sympatią i szacunkiem.

Z założenia – chciałam napisać opowieść rodzinną, bez sensacji; pokazać piękną kobietę, wielką aktorkę, interesującego człowieka.



Ingrid Bergman i Norman Boehm, Deauville, Francja 1956 r., fot. arch. A.Z-B

Kiedy książka się ukazała?

Książka „Ingrid Bergman – prywatnie” ukazała się najpierw w Polsce, w wydawnictwie Prószyński i S-ka w 2013 roku. W tym samym roku ukazała się w Stanach Zjednoczonych pt. „Ingrid Bergman and Her American Relatives” (2013).

We wstępie do książki Norman Boehm napisał, cytuję tłumaczenie:

> *cieszę się, że moja żona Aleksandra napisała o Ingrid Bergman i jej związkach z rodziną Boehmów. Ta opowieść pokazuje piękną i wybitną aktorkę, która poza tym, że Bóg dał jej talent i urodę, był również pełna ciepła, dobroci, współczucia, oddania, serdeczności, entuzjazmu….by wymienić tylko kilka jej cech. Mam nadzieję, że czytelnicy tej książki podzielą moje i Aleksandry serdeczne uczucia do Ingrid Bergman, którą miałem szczęście znać osobiście.*

W książce jest zamieszczonych wiele wypowiedzi na jej temat, opowieści, anegdoty, dzięki czemu czytelnik ma szansę spojrzeć na gwiazdę ekranu z innej strony. Jak mogłabyś podsumować, kim Ingrid Bergman była dla Normana?

Jak Norman opowiadał – była dla niego niezwykłe ciepłą, serdeczną. Był dumny, że się widywali, przyjaźnili. Miał wiele szacunku i miłości do swojej kuzynki. Ogólnie – moja książka też jest serdeczna, rodzinna. Nie powtarzałam plotek, które przytaczane są niemal w każdej książce o wielkiej aktorce.

Dostała trzy Oscary – aktorką była wybitną. Jako człowiek – przystępna i naturalna. Gdy zaczęła grywać w filmach postanowiono ją pokazywać jako naturalną, bez upiększających zabiegów, wchodziła w lata także naturalnie.

Oprócz opowieści Normana i zamieszczonych listów, w książce jawi się nie tylko obraz pięknej kobiety i utalentowanej aktorki, ale uchylasz też rąbka jej prywatnego życia. Dowiadujemy się, że była wysoka, co czasem przeszkadzało w rolach, gdy np. musiała grać z niższymi mężczyznami.

Norman opowiadał, że gdy oboje tańczyli w Deauville, była jego wzrostu, a był wysokim mężczyzną. W swojej książce autobiograficznej: „Ingrid Bergman. My story” (autorzy: Ingrid Bergman i Alan Burgess, Delacorte Press, New York 1980) Ingrid pisze, że często chodziła na ugiętych kolanach, gdy jej partnerzy filmowi byli niżści, a nie chciano tego pokazywać. Umieszczano także specjalną platformę dla aktora, aby Ingrid – stojąca na podłodze sprawiała wrażenie niższej.



Ingrid Bergman i Norman Boehm, Londyn 1982 r., fot. arch. A.Z-B

W ciąg biograficzny wplecione są role filmowe i stopnie kariery. Czy Ingrid Bergman, tak jak publiczność, też uważała „Casablancę” za najważniejszy film z jej udziałem?

Ingrid ceniła takie filmy z jej udziałem jak: „Joanna D’Arc”, „The Bells of St. Mary’s”, „Anastazja”. „Casablanca” była i jest odbierana przez innych jako jej najwspanialszy film. Napisała w autobiografii, że nagrane były dwa zakończenia. Długo nie wiedzieli, które zakończenie wybiorą. – Czy Ilsa odleci

samolotem z mężem, czy zostanie. Jest piękna końcowa scena – kiedy Claude Rains (Paul Hendreid) i Bogie (Humphrey Bogart) odchodzą we mgle, mówiąc słynne zdanie, „Louis, myślę, że to jest początek pieknej przyjaźni”.

Wkrótce po „Casablance” otrzymała rolę w „Komu bije dzwon” – wysoka Szwedka zagrała hiszpańską chłopkę. Bergman była chwalona, że nie pokazuje uczuć, że widzowie widzą w niej to, co chcą widzieć.

Napisała do ciebie córka Ingrid Bergman – Isabella Rossellini. Jak skomentowała książkę o swojej matce?

Napisała, że się bardzo wzruszyła, że zawsze tak się dzieje, gdy po latach czyta o matce. Przekazała materiały na temat Ingrid do archiwum na amerykański uniwersytet Wesleyan (Middletown, Connecticut). Prosiła, bym przekazała tam kolekcję listów Ingrid do Normana babki, ojca i do niego.

Pia Lindstrom, pierwsza córka Ingrid (z małżeństwa z Petter Lindstrom), wyraziła zgodę na druk listów matki *(trzeba uzyskać zgodę, takie obowiazuje prawo autorskie).*

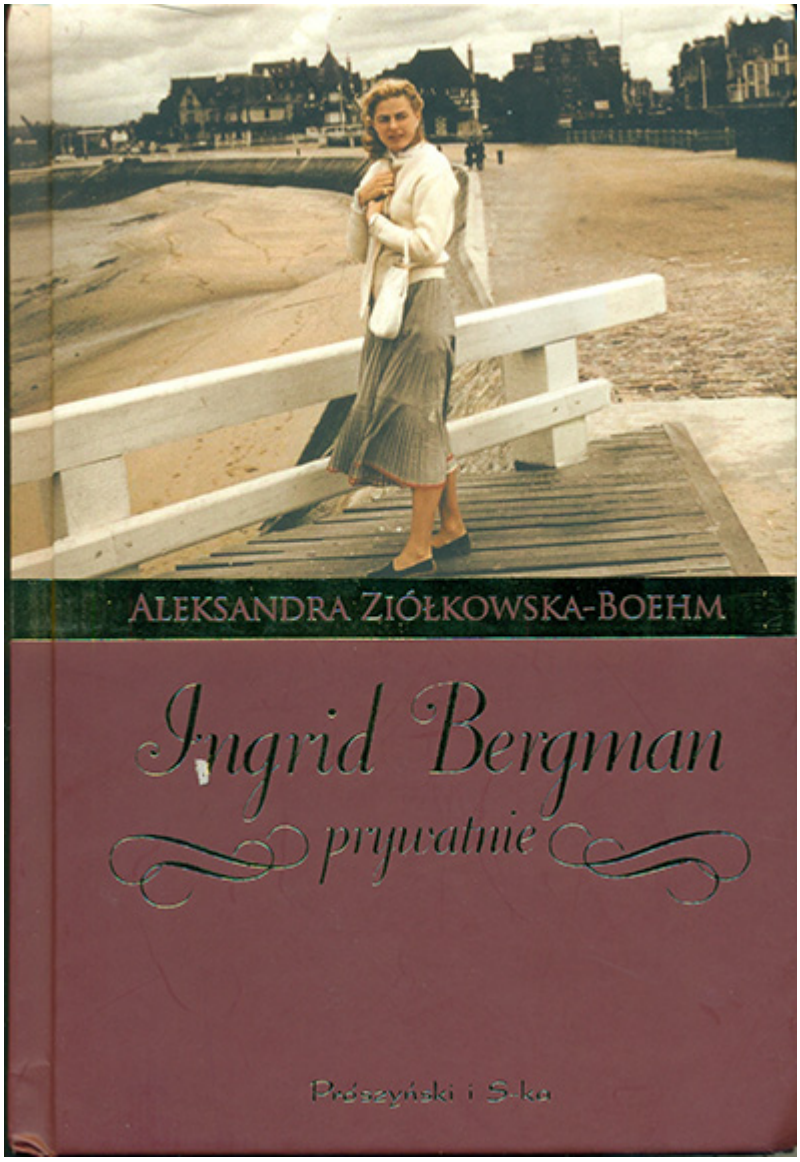
Książka się kończy refleksją, że obojętnie ile mamy lat, lubimy opowieści o miłości i sławie.

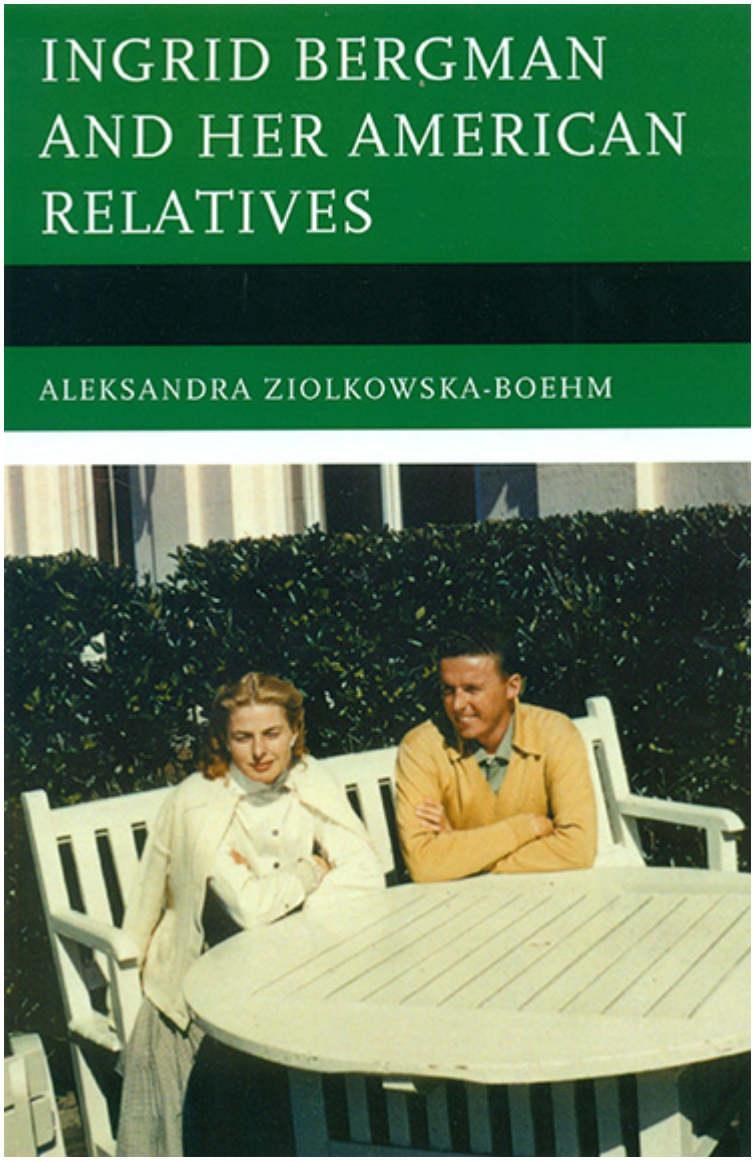
Takie nostagiczne napisałam zakończenie… Uważam, że chcemy oglądać filmy, czytać książki o miłości, niezależnie od czasu, który mija. Takie opowieści są jak piękne bajki.

Norman do końca życia powielał adres Ingrid w nowych notesach. Nie chciał go wykreślać. Jakby chciał zatrzymać czas.

*

Okładki książki w dwóch wersjach językowych


ALEKSANDRA ZIÓŁKOWSKA-BOEHM
Ingrid Bergman
prywatnie
Prószyński i S-ka



Od redakcji:

Wybrane recenzje książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm „Ingrid Bergman – prywatnie”.

Niezwyczajna biografia

(…) Po książkę Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm “Ingrid Bergman

prywatnie” sięgnąłem głównie ze wzgledu na jej autorkę, której karierę pisarską śledzę od dawna. Nie jest to jednak zwykła książka. Wskazuje na to nie tylko wytworna okładka, „kapiąca złoceniami”. Książka o Ingrid Bergman powstala bowiem z miłości do Normana i dla niego, męża pani Aleksandry. (…) Pierwszy raz Norman spotkał ciotkę Ingrid w domu swych dziadków – Carla Adalberta i Blendy Boehmów, w małym miasteczku Washington w stanie New Jersey. Była to wówczas pierwsza wizyta szwedzkiej aktorki w USA, kiedy zagrała na Broadwayu rolę Julii w sztuce Ferenca Molnara „Liliom”. Miała wtedy 25 lat i pojawiła się w towarzystwie swej dwuletniej córeczki Pii. Zachwycała wszystkich jasnością uśmiechu i swobodną naturalnością – taką ją zapamiętał Norman. Kolejne jego spotkania z Ingrid Bergman nastąpiły w latach 60., u szczytu jej kariery. Norman pracował wówczas na Bliskim Wschodzie i w drodze do lub z USA spotykał się z nią w Europie – Rzym, Paryż i Londyn. (…)

Już po kilku stronach pozwoliłem się ponieść opowieści, dałem się wciągnąć w zaczarowany krąg pięknej Ingrid. Kiedy w 1982 roku Ingrid Bergman kończyła swą ziemską wędrówkę, Aleksandra Ziółkowska przebywała w Toronto, w Kanadzie. Żoną Normana została w 1990 r., i dopiero wtedy do jej życia wkroczyły towarzyszące Normanowi wspomnienia o pięknej ciotce Ingrid. Były to opowieści o uroczych spotkaniach z aktorką oraz bezcenne pamiątki w postaci fotografii (oglądamy co

ciekawsze), listow (faksimile niektórych znajdziemy w książce) czy oryginalnego plakatu z kultowego filmu „Casablanka” oraz biografii aktorki napisanej wspólnie z Alanem Burgessem „Ingrid Bergman. My Story” z bezcenną dedykacja: „To Norman with good luck, Fondly, Ingrid. October 1980” (Dla Normana z życzeniami szczęścia. Czule, Ingrid, październik 1980) (…)

Książka, dedykowana przez panią Aleksandrę Normanowi, pokazuje normalne, rodzinne życie aktorki, dla którego tylko tłem jest jej praca artystyczna. Natomiast jej miłosne fascynacje stają się tylko inspiracją i usprawiedliwieniem dla jej artystycznej – scenicznej i fimowej – pracy aktorskiej. (…)

Niezwyczajna biografia, Janusz Paluch, KRAKÓW, październik 2013 r.

***

Kuzynka Ingrid

(…) Jak to się stało, że pośród bohaterów książek Ziółkowskiej-Boehm, tych „odziedziczonych po Wańkowiczu” i tych „swoich” – hubalczyków, powstańców warszawskich, żołnierzy Andersa, polskich powojennych emigrantów politycznych, rodzin i rodów kresowych, postaci związanych z polską historią, pojawia się nagle gwiazda światowego kina? Autorka zaznacza we wstępie, że Ingrid Bergman należała do ulubionych aktorów pokolenia jej

rodziców, a i ona sama chętnie oglądała filmy z udziałem Bergman, która szczególnie stała się jej bliska poprzez opowieści męża. Od kiedy w 1990 r. w USA wyszła za mąż za Normana Boehma, opowiadał on często o swojej słynnej kuzynce, pokazywał fotografie, pamiątki, listy pisane przez nią do amerykańskich krewnych: do jego babki Blendy, ojca Carla Normana i do niego. Wspominał wizyty Ingrid w jego domu rodzinnym: że grał dla niej na pianinie m.in. *Pieśń Indii* Rimskiego-Korsakowa i walc minutowy Chopina i że był bardzo przejęty, kiedy go, małego wówczas chłopca, pochwaliła za grę. Spotykał się z nią w Paryżu, Deauville, Londynie, Nowym Jorku, poznał m.in. Roberta Rosselliniego, Yula Brynnera, Ritę Hayworth, Jeana Renoira. (…)

Co nowego dowiemy się o Ingrid Bergman po lekturze tej książki? Jak dotąd na ogół nie wiedziano, że urodzona w Sztokholmie aktorka była pół Szwedką, pół Niemką. Ojciec Justus Bergman był Szwedem, a matka Friedel Adler – Niemką. W Ameryce, gdzie Ingrid Bergman zdobyła ogromną popularność, wręcz unikano wzmianek o jej niemieckim pochodzeniu. Podczas drugiej wojny światowej i w kolejnych latach nie przypominano o niemieckim rodowodzie znanych aktorów, tak np. uczyniono w przypadku Clarka Gable'a. (…)

Nowe światło na twórczość Ingrid Bergman rzucają dokumenty rodzinne. Jej córka Pia stwierdziła np., że matka byłaby

nieszczęśliwa, wiedząc, że *Casablankę* uważa się za jej najlepszy film. Matka, według niej, znacznie wyżej ceniła i bardziej lubiła rolę Joanny d'Arc i ten film uważała za wyjątkowy w swojej karierze.

Jest pewną tajemnicą, jak ulotne zdawałoby się rzeczy – fragment listu, fotografia, niespodziewane spotkanie przywołane we wspomnieniach – mogą wiele powiedzieć o ludziach i ich świecie. I nie są to okruchy życia, ale sama jego esencja. Był rok 1955, gdy w jednym z listów z Paryża Norman, będąc wówczas gościem swojej sławnej kuzynki, pisał do domu: „Pojechaliśmy odwiedzić reżysera nowego filmu Ingrid – Jeana Renoira, który jest bardzo znany we Francji. Mieszka wraz z żoną niedaleko placu Pigalle w najbardziej rozsypującym się mieszkaniu, jakie widziałem w życiu. Wcześniej mieszkał tam w nim ojciec reżysera, słynny malarz. Piliśmy szampana, rozmawialiśmy, było bardzo przyjemnie". (…)

Anna Bernat, NOWE KSIĄZKI, 1 lipca 2013 r.

***

Zagraj to jeszczeraz, Ingrid!

Po lekturze książki o Ingrid Bergman, autorstwa Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, zapragnąłem zobaczyć ponownie najsłynniejsze role tej wielkiej aktorki. Na szczęście jest to

możliwe, bo są już zarejestrowane na dvd. Od *Casablanki* i *Gasnącego po mienia* po *Jesienną sonatę*. (…)

Książka Aleksandry Ziółkowskiej -Boehm przypomina nie tylko dzieje Ingrid Bergman i jej rodziny, ale także dzieje jej trzech mężów i czworga dzie ci. Wyłania się z niej wizerunek kobiety, która chciała mieć jak najlepszy kontakt ze swymi bliskimi, od których była oddalona. Z listów cytowanych przez autorkę wynika, że była zorientowana w ich losach, pamięała o nich i czuła wdzięczność za każdą oznakę pamięci o niej. Była także skora do pomocy materialnej. Nie skąpiła również słów otuchy. Listy te, pisane czasem w pośpiechu na hotelowym papierze firmowym, cechuje jednak serdeczny stosunek do adresatów i potrzeba, by być wobec nich w porządku. Nie ma w nich gwiazdorskiego patrzenia z góry i poklepywania po ramieniu. Nie ma też imponowania i samozachłystywania się kolejnymi sukcesami. Jest natomiast przepraszający ton, za ustawiczny brak czasu wypełnionego pracą i wynikającymi z niej rozjazdami. Na fotografiach pokazujących te listy widać czytelny i staranny charakter pisma oraz układ zdań świadczący o potrzebie ładu i zmyśle estetycznym samej Ingrid. Niby drugorzędny drobiazg, a ile mówi o klasie człowieka.

Andrzej Józef Dąbrowski, Zagraj to jeszczeraz, Ingrid!, PRZEGLAD POLSKI/NOWY DZIENNIK, Nowy Jork, 5 maja 2014 r.

Niezłomność „Inki” nie pozostawia nas obojętnymi

Z Jackiem Frankowskim – karykaturzystą, reżyserem filmów dokumentalnych, rozmawia Aleksandra Ziółkowska-Boehm



Jacek Frankowski w programie telewizyjnym „Kawa czy herbata”
FOTO: DAREK KOWALEWSKI

Mówi Pan o sobie: ”z wykształcenia leśnik, z zainteresowań historyk, z zawodu karykaturzysta ilustrator. Dodałabym jeszcze – reżyser wielu filmów dokumentalnych (bodaj najsłynniejszym jest film o „Ince”, o którym porozmawiamy.

Jako rysownik współpracowal Pan z wieloma pismami, m.in. z „Rzeczpospolitą”, „Szpilkami”, „Karuzelą, „Słowem Powszechnym”, „Lasem Polskim”. Dla telewizji tworzyl Pan projekty lalek m.in. do Szopki Noworocznej 1990/1991, Wielkanocnej szopki w jajku emitowanej w 1991 roku i

widowiska telewizyjnego „Od Jałty do Magdalenki, czyli szopka w grajdole”, będącego satyrycznym podsumowaniem historii PRL. Współpracował Pan z Erykiem Lipińskim przy organizacji Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury, założonego w 1987 r.

Za projekty lalek – zwierzątek do „Polskiego ZOO”, programu satyrycznego emitowanego w latach 1991-94, otrzymał Pan Złotą Szpilkę’91. W roku 1992 kapituła satyryków przyznała Panu tytuł Karykaturzysty Roku. Ma Pan ponad 200 wystaw indywidualnych. Za wystawę „Gwiazdy w siodle” przedstawiającą karykatury konne artystów, prezentowaną w 2008 r. podczas zawodów ART CUP w Klubie Jeździeckim „Lewada” w Zakrzowie otrzymał Pan od organizatorów tytuł „Kossaka karykatury polskiej”. W latach 1991-1994 robił Pan rysunki – karykatury do popularnego programu satyrycznego autorstwa Marcina Wolskiego „Polskie Zoo”.

W programie bohaterami były kukiełki zwierząt, które przedstawiały polityków. Przykładowo: Lew mówił głosem Lecha Wałęsy, głos Gawrona łudząco przypominał głos gen. Wojciecha Jaruzelskiego, Żółwia kojarzono z Tadeuszem Mazowieckim, Hipopotama z Jackiem Kuroniem, a Koziołka z Bronisławem Geremkiem. Para nierozłącznych Chomików jednoznacznie kojarzyła się widzom z braćmi Kaczyńskimi, a Kaczorek z

Donaldem Tuskiem. W Lisie widzowie dopatrywali się podobieństwa do Adama Michnika, a Dzik, no cóż z Dzikiem nie zaprzyjaźnił się Aleksander Kwaśniewski, ale to inna historia. Początkowo politycy będący pierwowzorami futerkowych bohaterów odbierali to jako atak na ich wizerunek. Z czasem obecność w „Polskim ZOO" zaczęto traktować jako nobilitację.

Zaskoczeniem dla twórców programu satyrycznego adresowanego do dorosłego widza była popularność „Polskiego ZOO" wśród dzieci, które traktowały go jako zabawną wieczorynkę. Miałem jednak dowody, że dzieci znakomicie kojarzyły futerkowych i pierzastych bohaterów z ich pierwowzorami ze sceny politycznej.



Jacek Frankowski – autokarykatura – z dwiema postaciami z „Polskiego ZOO”; z lewej – Lech Wałęsa jako lew, z prawej – Aleksander Kwaśniewski jako dzik

Jak dalece trzeba być utalentowanym rysownikiem i zorientowanym w arkanach polityki, sytuacji bieżącej – by tworzyć kolejne rysunki, które zwracając uwagę na konkretne sytuacje, mobilizują do refleksji?

Na moją twórczość zarówno satyryczną, jak i filmową, bez wątpienia, ma wpływ doświadczenie życia w państwie rządzonym

przez komunistów. Pamiętam heroiczną, wieloletnią walkę w latach pięćdziesiątych mieszkańców Kraśnika Fabrycznego w obronie wiary. Do kulminacji doszło 28 czerwca 1959 roku, gdy przeciwko mieszkańcom dopominającym się prawa uprawiania kultu religijnego, komunistyczne władze wysłały oddziały milicji, brutalnie pacyfikujące protest. Pomimo represji mieszkańcy Kraśnika nie poddawali się w walce o kościół. Muszę nadmienić, że walka kraśniczan o kościół o blisko rok wyprzedziła bardziej spopularyzowane wystąpienia z podobnymi postulatami mieszkańców Nowej Huty 27 kwietnia 1960 roku.

W marcu 1968 roku byłem studentem 1. roku Wydziału Leśnego SGGW. Mój rok był głównym organizatorem strajku solidarnościowego SGGW wspierającego protest studentów Uniwersytetu Warszawskiego przeciw cenzurze i w obronie wolności akademickiej z żądaniem powrotu na studia aresztowanych studentów. Wszyscy zaangażowani czynnie w strajk mieli, wynikające z doświadczeń osobistych, powody do sprzeciwu wobec rządów komunistycznych.

Tragiczne wydarzenia z grudniu 1970 roku na Wybrzeżu pokazały jaka przepaść dzieli społeczeństwo i rządzących. Słynne gierkowskie „Pomożecie?” skierowane w 1971 roku do stoczniowców budziło nadzieję. Jednak wydarzenia radomskie 1976 roku rozwiały złudzenia co do stosunku władz do wolnościowych dążeń Polaków. Nadzieja jednak nie umierała.

Sierpień 1980 roku i narodziny Solidarności. Stan wojenny na blisko 10 lat zablokował dążenia wolnościowe, które wybuchnęły ze zwielokrotnioną siłą po sukcesie wyborczym Solidarności 4 czerwca 1989 roku. Trzydzieści lat budowania demokratycznej Polski to także materiał do głębokiej refleksji.

Nie wiem, czy moje wejście w twórczość satyryczną jest typowe. Rysować lubiłem zawsze, często wypełniając sobie tym zajęciem czas w trakcie lekcji z różnych przedmiotów. Były nawet z tym drobne szkolne afery po przechwyceniach przez nauczycieli moich karykatur budzących nadmierne rozbawienie koleżeństwa w trakcie lekcji.

Debiutowałem w 1974 roku, już po studiach będąc asystentem w Instytucie Badawczym Leśnictwa, równocześnie w „Słowie Powszechnym" i „Lesie Polskim". Sięgnąłem po ołówek satyryka pod wpływem zauroczenia twórczością Andrzeja Mleczki. Miałem szczęście, Gdy po latach ograniczenia współpracy z prasą w latach osiemdziesiątych próbowałem po 1989 roku powrócić na łamy tytułów prasowych, z którymi współpracowałem wcześniej, powrócić było trudniej niż debiutować. W redakcjach, po weryfikacjach, pracowali zupełnie nieznani mi ludzie. Szczęście mnie nie opuszczało. Wiatrem w twórcze żagle była złożona przez Grzesia Szumowskiego propozycja zaprojektowania, w jego zastępstwie, lalek do telewizyjnej Szopki Noworocznej 1990/1991. Grzegorz, jeden z najwybitniejszych karykaturzystów

polskich, miał tak wypełniony portfel zamówień, że nie był w stanie podjąć się tego zadania, które było marzeniem wszystkich karykaturzystów. Jestem mu za to wdzięczny do dzisiaj. To był początek mojej przygody we współpracy z telewizją, którą prowadziłem równolegle z rysowaniem dla prasy i wydawnictw książkowych.



Jacek Frankowski: „Jałta 1945” – ilustracja do widowiska telewizyjnego „Od Jałty do Magdalenki, czyli szopka w grajdole 1991”

Jakimi cechami powinien dysponować rysownik satyryczny?

Rzeczywistość pokazuje, że w dziedzinie rysunku satyrycznego o sukcesie nie koniecznie decydują umiejętności posługiwania się ołówkiem, czy piórkiem, bardziej zdolność stworzenia czytelnego przekazu odnoszącego się do realiów lub konkretnej sytuacji, który wywoła uśmiech lub gorzką refleksję. Mistrzem satyry opartej na bardzo prostych rysunkach, porównywanych poziomem do twórczości dziecięcej, był Sławomir Mrożek, autor popularnego w swoim czasie cyklu rysunków „Przez okulary Sławomira Mrożka", które stały się klasyką. W moim przypadku, zamiast o talencie, wolałbym mówić raczej o szczerej chęci wypróbowania własnego poczucia humoru rysunkowego, z poczuciem humoru najpierw redaktorów, a później czytelników prasy. Sprowokowała mnie do podjęcia tego wyzwania, o czym już wspominałem, twórczość Andrzeja Mleczki, który imponuję artystyczną formą do dzisiaj.

Rysownikiem-karykaturzystą był Szymon Kobyliński. Jak dalece jest Panu bliska jego twórczość?

Z twórczością Pana Szymona zetknąłem się za pośrednictwem telewizji. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. byłem wiernym widzem jego telewizyjnych pogadanek ilustrowanych na bieżąco mistrzowskimi rysunkami. Tematyka, którą prezentował Pan Szymon, była mi, pasjonatowi historii, bardzo bliska. Gdy już zadebiutowałem jako rysownik prasowy, wielkie moje uznanie budziła zdolność Pana Szymona pokonywania ograniczeń

cenzury, demonstrowana w cotygodniowym rysunkowym komentarzu na pierwszej stronie tygodnika „Polityka”. Jak wielka była to sztuka wie tylko ten, kto publikował w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Dlatego, chociażby, będę dozgonnie fanem twórczości Wielkiego Szymona.

Ilustrowal Pan także kilkanaście książek, między innymi „Ogniem i mieczem – w karykaturze”. W 2007 roku ukazały się: „Huragan” t. 1-2 i „Szwoleżerowie Gwardii” z napoleońskiego cyklu Wacława Gąsiorowskiego. Dla wydawnictwa Księży Marianów ilustrował Pan cykl poradników „Jak być..” „Jak być mamą”, „Jak być tatą” dalej: teściową, babcią, dziadkiem itd.

Propozycja ilustrowania książek pojawiła się na fali popularności mojej twórczości telewizyjnej. Ilustrowanie książek dawało mi poczucie dłuższego bytu ilustracji niż rysunków prasowych, o których mówi się, że rysunek opublikowany w dzienniku żyję dzień, w tygodniku tydzień. Książki nie tak szybko trafiają na makulaturę. Ilustracje książkowe wymagają jednak innego rodzaju umiejętności niż rysunek prasowy. Bardziej, od poczucia humoru twórcy ceni się jego umiejętności warsztatowe. W tej dziedzinie mistrzem jest Edward Lutczyn. Wielką frajdę sprawiała mi możliwość szkicowania na planach filmowych Jerzego Hoffmana, którego twórczości jestem fanem. Cykl karykatur bohaterów Trylogii Sienkiewiczowsko-Hoffmanowskiej

od lat nie traci zainteresowania widzów, dzięki trwałej popularności dzieła Mistrza Hoffmana. Na planie filmu „1920 Bitwa Warszawska” pojawiałem się ze studiującym operatorkę synem Adrianem, który filmował pracę ekipy. Relacja z prac nad filmem o polskim zwycięstwie w 1920 roku stała się jego debiutem filmowym.

Jak powstał pomysł nakręcenia filmów o leśnikach, np. „Martyrologia leśników. Katyń, Sybir, Kresy”?

Debiutowałem w 2005 roku filmem „Adam Loret – szkic do portretu” zrealizowanym ze współpracy z Tomkiem Lengrenem. Adam Loret, przedwojenny Dyrektor Naczelny Lasów Państwowych, ma wybitne zasługi dla lasów, polskiej przyrody i tworzenia ekonomicznej siły odrodzonej Ojczyzny. Postać tragiczna. Zaginął po aresztowaniu przez NKWD na Nowogródczyźnie 17 września 1939 roku. Do dzisiaj nie udało się uzyskać od Rosjan dokumentów związanych z jego losem po aresztowaniu. Wymazany z historii przez cały okres PRL, zasługuje na przywrócenie pamięci. Filmem pokazującym dzieło i tragiczny los Adama Loreta podjąłem się tego zadania. Jest wiele tematów związanych z wkładem i ofiarą leśników na rzecz niepodległości. Staram się w twórczości filmowej dokumentować dowody niezłomnego patriotyzmu tej grupy zawodowej.

Leśnicy na Kresach Wschodnich byli pierwszymi ofiarami zsyłki

na Sybir 10 lutego 1940 roku. Wywożono leśników, osadników wojskowych, czyli żołnierzy wojny 1920 roku, a także wybitnych samorządowców. Wielu leśników, oficerów rezerwy złożyło swoje życie w Zbrodni Katyńskiej. Ci, którym udało się uniknąć syberyjskiej zsyłki stawali się pierwszymi ofiarami ludobójstwa na Wołyniu. Film ma swoją dramaturgię i jako leśnik miałem poczucie zobowiązania wobec tych ludzi, którzy stawali się ofiarami zbrodni zarówno niemieckich, sowieckich, jak i ukraińskich nacjonalistów.

Pana film „10.04.2010 Las Katyński" – relacja z uroczystości na Polskim Cmentarzu Wojennym w Katyniu w dniu katastrofy samolotu prezydenckiego pod Smoleńskiem. Proszę go przybliżyć.

Delegacja leśników przygotowywała się do wyjazdu do Katynia na organizowane przez Prezydenta Lecha Kaczyńskiego uroczystości 70 rocznicy Zbrodni Katyńskiej. Miałem z kamerą uczestniczyć w tej sześcioosobowej delegacji, której odmówiono miejsca w pociągu organizowanym przez Radę Pamięci Walki i Męczeństwa. Zbigniew Zieliński, były szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, zaproponował załatwienie dla mnie miejsca w prezydenckim samolocie, dla umożliwienia filmowego udokumentowania wydarzenia. Znał osobiści Władysława Stasiaka, szefa Kancelarii Prezydenta. W środę, 6 kwietnia, Zbigniew Zieliński otrzymał z Kancelarii

Prezydenta potwierdzenie zarezerwowania dwóch miejsc w prezydenckim samolocie. Ze względu na to, że delegacja leśników otrzymała zgodę dyrektora generalnego Lasów Państwowych na wyjazd busem, z żalem zrezygnowałem z lotu samolotem. Na szczęście Zbigniew Zieliński także nie skorzystał z miejsca w samolocie do Katynia. Być może w tym zdarzeniu kryją się powody mojego szczególnego, emocjonalnego stosunku do wszystkich ofiar tragicznego lotu. Wielu z nich znałem osobiście. Relacja z tych tragicznych obchodów Zbrodni Katyńskiej zawarta w filmie „10.04.2010 Las Katyński" jest formą hołdu, zarówno dla oficerów leżących w grobach katyńskich jak i ofiar katastrofy.

Jest Pan autorem scenariuszy i reżyserem ponad 15 filmów dokumentalnych. Poruszający, wzruszający film to: „Inka. Są sprawy ważniejsze niż śmierć". Przybliża niezwykłą postać Danuty Siedzikówny ps. „Inka", sanitariuszki 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej (utworzonej i dowodzonej przez mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę", także zamordowanego potem przez komunistów).



Inka – druga z prawej – z żołnierzami 4. szwadronu 5. Wileńskiej Brygady AK FOTO: IPN.GOV.PL

Przypomnijmy postać „Inki”. Była córką Wacława Siedzika – leśniczego z Puszczy. **Białowieskiej i Eugenii z domu Tymińskiej. Ojciec „Inki” w lutym 1940 roku został wywieziony przez Sowietów do łagru w ramach pierwszej wielkiej wywózki mieszkańców Kresów na Sybir. Stamtąd dostał się do formowanej armii Władysława Andersa. Zmarł 6 czerwca 1943 w Teheranie. Matka „Inki” współpracowała z Armią Krajową, została aresztowana przez Gestapo w listopadzie 1942, a we wrześniu 1943 roku rozstrzelana w lesie pod Białymstokiem.**

„Inka”, uczestnicząca jako sanitariuszka w akcjach przeciw NKWD i UB, w czerwcu 1946 roku została wysłana do Gdańska po zaopatrzenie medyczne. Tam, w lipcu 1946 roku – w wyniku zdrady – została aresztowana i poddana brutalnemu śledztwu. Odmówiła składania zeznań i 3 sierpnia 1946 roku została skazana na śmierć.

Wyrok wykonano 28 sierpnia 1946 roku na sześć dni przed osiągnięciem przez „Inkę” pełnoletności. Przejmujące są zdjęcia i opis wydarzeń z więzienia na ul. Kurkowej w Gdańsku, gdzie „Inka” była więziona, sądzona i uśmiercona strzałem w głowę. Sama śmierć niespełna 18-letniej „Inki” jest także wstrząsająca… Pluton egzekucyjny wykonujący wyrok na „Ince” i „Zagończyku” strzelając do skazanych oszczędził młodą dziewczynę. Inka nie była nawet draśnięta kulą egzekutorów. Uśmiercił ją dowódca plutonu strzałem w głowę.

Dopiero w 1991 roku wyrok śmierci unieważniono. Przez wiele lat próbowano zlokalizować miejsce pochówku „Inki”. Jej szczątki odnalazł zespół kierowany przez prof. Krzysztofa Szwagrzyka w 2014 roku.

Jak powstał pomysł nakręcenia filmu o „Ince”?

Impulsem do zajęcia się tym tematem była informacja

publikowana we wrześniu 2014 roku w prasie, radiu i te;ewizji, że najprawdopodobniej zostały odnalezione szczątki Danuty Siedzikówny „Inki”. Byłem przekonany, że sformułowanie o prawdopodobnym odnalezieniu szczątków „Inki” wynika z potrzeby potwierdzenia tego badaniami genetycznymi. Mogłem przyjąć ze stuprocentowym prawdopodobieństwem, że wszystkie inne cechy odnalezionych szczątków musiały przekonywać, że należą one do „Inki”. Przypomniał mi się wówczas komunikat z 1991 roku informujący o unieważnieniu wyroku śmierci wydanego przez komunistyczny sąd na młodocianej sanitariuszce. Po raz pierwszy usłyszałem wówczas o „Ince”.

Bardzo poruszyła mnie historia skazania i wykonania wyroku na niepełnoletniej dziewczynie, której wojskowym zadaniem była pomoc rannym. Miałem nawet wątpliwości co do sensu anulowania wyroku, który przecież nie przywróci „Ince” życia. Szybko zrozumiałem, że anulowanie wyroku chociaż nie przywróci życia, zdejmie z „Inki” piętno zbrodniarki, przywróci jej godność patriotki, ofiary komunistycznego terroru.

Postanowiłem podjąć temat filmowej biografii „Inki”. Zapisałem tytuł filmu, nad którym rozpoczynałem pracę: „Inka. Zachowała się jak trzeba”. Gdy przygotowywałem się do rozpoczęcia zdjęć, telewizja 1 marca 2015 roku pokazała film Arka Gołębiewskiego „Inka. Zachowałam się jak trzeba”. Zbyt mała różnica w tytułach, żebym mógł pozostać przy pierwotnym pomyśle. Kontynuowałem

pracę nie mając pomysłu na tytuł. W trakcie końcowego montażu, moją uwagę zwróciła wypowiedź rówieśniczki „Inki" Katarzyny Szpilewskiej, licealistki z 1 LO we Wrocławiu, noszącego imię „Inki", która powiedziała, że dla „Inki" kwestia lojalności wobec kolegów z konspiracji w trakcie śledztwa była bardzo ważna. Była ważniejsza niż jej własne życie. To zdanie było dla mnie odkryciem. Miałem tytuł: „Inka. Są sprawy ważniejsze niż śmierć". Opatrzność, lub dla innych szczęście, mi służyła. Udało mi się dotrzeć do ludzi znających „Inkę". Zacząłem od rozmowy z Brunonem Tymińskim wujem „Inki", który jeszcze w tamtym momencie zachowywał wspomnienia, lecz wkrótce nastąpił znaczny regres jego pamięci. Józef Rusak, żołnierz „Łupaszki" znał „Inkę" z okresu powojennej konspiracji. Opatrzność pamiętała o mnie. W sposób, który ktoś mógłby przypisać przypadkowi, pozwoliła mi dotrzeć do pamiętającego „Inkę" Witolda Grusa, syna nadleśniczego z Narewki, który w 1945 roku był szefem pracującej w nadleśnictwie „Inki".

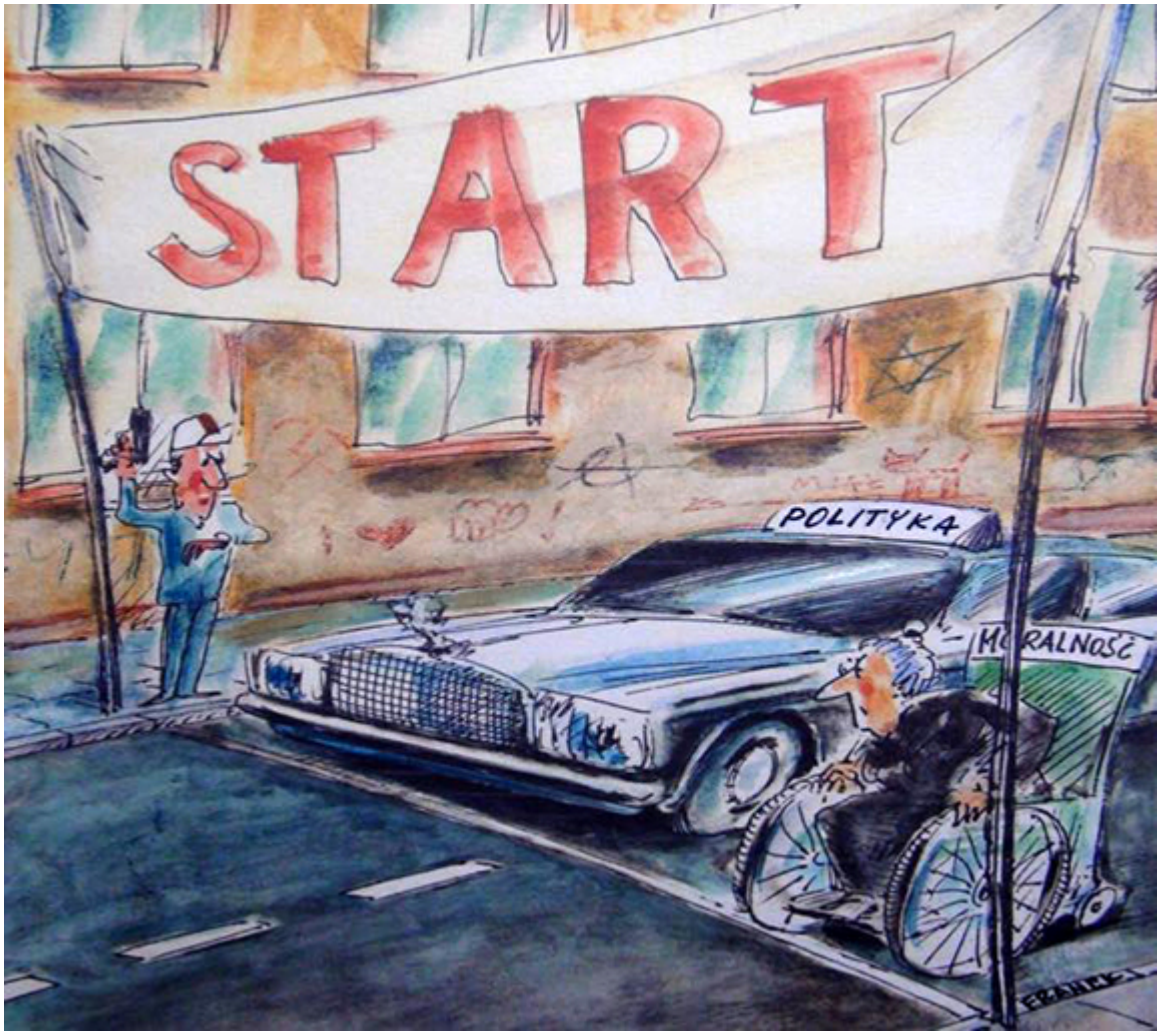
Praca nad filmem dostarczała mi silnych, niezapomnianych wrażeń, które z pewnością mają wpływ na mój system wartości. To jest siła niezłomności „Inki" i świadomie dokonanego przez Nią wyboru między życiem za cenę zdrady i śmiercią w imię wierności uznanym wartościom. Myślę, że ta jej niezłomność nie pozostawia widza filmu obojętnym.

To zaszczyt, że mogłem zrealizować film poświęcony tragicznej

biografii dziewczyny z Białowieskiej Puszczy, niezwykłej bohaterki walki o wolność Ojczyzny.

…Niezapomniana była wielka manifestacja patriotyczna, jaką był pogrzeb „Inki” i „Zagończyka” z uroczystościami żałobnymi w Bazylice Mariackiej i na Cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku 28 sierpnia 2016 roku.

Przypomnijmy, że w tym samym dniu wykonania wyroku na „Ince” 28 sierpnia 1946 roku także w więzieniu przy ulicy Kurkowej w Gdańsku, wykonano wyroki śmierci na podporuczniku Feliksie Selmanowiczu, pseudonim „Zagończyk”. Walczył w 3., 4 oraz 5. Wileńskich Brygadach AK. Od marca do czerwca 1946 roku, pluton, którym dowodził dokonał szeregu akcji między innymi w Gdańsku, Sopocie, Olsztynie i Tczewie, zdobywając broń oraz gotówkę, która została przekazana oddziałowi „Łupaszki”. Aresztowano go w lipcu 1946 roku i skazano na karę śmierci.



Jacek Frankowski: „Polityka i moralność”

Nie ogranicza się Pan do twórczości karykaturzysty i filmowca dokumentalisty. Dotarł do mnie Pana debiut literacki „Galeria ZAiKS 1918-2018 sto stron na stulecie”

Pisarze są dla mnie artystyczną grupą szczególnego zainteresowania. To ich twórczości zawdzięczam możliwość kształtowania wyobraźni plastycznej. Przecież czytając książkę, wyobrażamy sobie bohaterów i opisywane sceny. Słowa z książek przekładają się na obrazy. To jest cudowne. Czytanie literatury pobudza wrażliwość i uzdalnia wyobraźnię czytelnika do

twórczej, obrazowej kreacji. Jestem przekonany, że swoją zdolność przekazywania treści rysunkiem i tworzenie opowieści filmowych zawdzięczam w dużej mierze pisarzom. Moja mama Janina Frankowska z Frankowskich (sic), niespełniony talent literacki, troszczyła się o rozwiniecie, od najwcześniejszego dzieciństwa, mojego zainteresowania książkami. Do dzisiaj pamiętam czytane przez mamę cudowne wiersze z książek „Brzechwa dzieciom" czy „Lokomotywa" Juliana Tuwima. Jako prezent z okazji pierwszej komunii otrzymałem „Kamienie na szaniec" Aleksandra Kamińskiego, książkę opisującą wojenne, tragiczne losy bohaterskich żołnierzy AK Batalionu „Zośka", które bardzo mnie poruszyły. Moim pierwszym szefem w Instytucie Badawczym Leśnictwa był prof. Tytus Karlikowski, żołnierz Baonu „Zośka" odznaczony Krzyżem Orderu Virtuti Militari za udział w walkach w Powstaniu Warszawskim. Swoje włączenie w pracę Społecznego Komitetu Opieki nad Grobami Poległych Żołnierzy Batalionu „Zośka" traktuję jako wywiązanie się z zobowiązań wobec pamięci o poległych bohaterach, a także wobec wskazania jakim było podarowanie mi przez mamę książki o „Zośkowcach".

Drugą książka wręczoną mi przez mamę z piękną dedykacją, którą traktuję jako swoiste zobowiązanie wobec historii, jest „Ziele na kraterze" Melchiora Wańkowicza, pisarza, którego otaczam kultem za jego wielki talent i dorobek w utrwalaniu historii, na którą składają się często drobne, ulotne wydarzenia,

w sposób genialny ożywiające opowieść. Wańkowicza czytało się i czyta, co jest dowodem nieprzemijających walorów jego twórczości. Cieszę się, że dzięki Pani książkom poświęconym Wańkowiczowi postać cenionego pisarza staje się dla mnie jeszcze bliższa.

Bardzo możliwe, że gdzieś w podświadomości, nurtowała mnie zazdrość wobec pisarzy, bo zadebiutowałem literacko książką poświęconą biografiom wybitnych twórców wpisanych w stuletnią historię Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. „Galeria ZAiKS 1918-2018 sto stron na stulecie" jest wyrazem hołdu dla dokonań kilkudziesięciu twórców i organizatorów działalności ZAiKS, z których wielu ma do dzisiaj uznaną pozycję, lecz wielu popadło w niezasłużone zapomnienie. Związany jestem od ponad czterdziestu lat z ZAiKS-em, ceniąc wysiłki i osiągnięcia Stowarzyszenia na polu ochrony praw autorskich. Mój literacki debiut traktuję jako spłatę długu wobec tych, którzy poświęcali swój talent i twórczy czas, walce o ochronę praw autorskich w okresach historycznych nie zawsze sprzyjających takiej działalności. Po tym pierwszym doświadczeniu marzy mi się napisanie sagi rodowe, która gdyby nawet miała być czytana tylko w rodzinie to warto poświęcić temu tematowi czas.



Jacek Frankowski: „Sąd Ostateczny”

Z Jackiem Frankowskim rozmawiała Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Wywiad ukazał się w „Nowym Dzienniku”, Nowy Jork, 1 marca 2020 r.

Zobacz też:

> Prześmiewczy głos Ryszarda Drucha.

> Ryszard Druch – rysunki satyryczne

Pisanie należy do świata magicznego

Z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm (Wilmington, Delaware) rozmawia Jolanta Wysocka (Nowy Jork)



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie, 2007 r., fot. arch. A. Z-B

Cieszę się ogromnie, a ze mną wierni pani czytelnicy, że znów daje nam pani do ręki „delicje” swojego pisarstwa. Na rynku księgarskim bowiem ukazały się dwie pani książki: „Pisarskie delicje” (Bellona) oraz „Wokół Wańkowicza”(PIW). Zapytam najpierw o tę drugą. Jako asystentka wybitnego prozaika i spadkobierczyni jego archiwum wydała pani o nim swoje wspomnienia („Blisko Wańkowicza”) i tom esejów („Na tropach Wańkowicza po

latach”), ale potem napisała pani także wiele innych książek, niezwiązanych z pisarzem. Rozumiem, że pamięć o Wańkowiczu jest w pani wciąż żywa. Czy to pewne podsumowanie wspomnień o człowieku, którego pani znała? Dlaczego pani do niego powraca?

Wańkowicz wszedł do lektur szkolnych, to duża sprawa. Cenione wydawnictwo PIW wydało książkę o pisarzu, która przybliża jego niezwykłą osobowość, jego książki, różnorodną ich tematykę. Tom „Wokół Wańkowicza”, liczący blisko 700 stron, zawiera wszystko, co dotychczas napisałam o Wańkowiczu – oba tytuły, które pani wymienia, plus 300 stron uzupełnień. Przywołałam swoją pierwszą książkę „Blisko Wańkowicza” (która miała trzy wydania, 90-tysięczny nakład), gdzie przypominam, gdy jako studentka pisząca pracę magisterską na temat jego twórczości wysłałam do pisarza list. W odpowiedzi wyznaczył spotkanie. Przywiozłam ze sobą moje „prace zaliczeniowe”, które przeczytał na początku spotkania. Kiedy zorientował się, że ma przed sobą „pracusia z polonistyki”, zatrudnił mnie jako *researcherkę.* Przez kolejny rok studiów zbierałam materiały do „Karafki La Fontaine’a”, której drugi tom pisarz mi zadedykował („… bez której oddanego współpracownictwa zapewne byłaby to jeszcze gorsza książka”). Po ukończeniu studiów zostałam jego asystentką. Rok później pisarz zmarł. Cała znajomość trwała ledwie 2 lata i 3 miesiące, ale był to ważny pod wieloma względami okres. Po śmierci pisarza zajęłam się prowadzeniem

serii jego „Dzieł wybranych”, obroniłam doktorat na Uniwersytecie Warszawskim, a także, mając 27 lat, napisałam pierwszą w życiu książkę.

Dlaczego teraz powracam do tematu autora „Monte Cassino”? Przez ostatnie lata nagromadziło się wiele nieporozumień, a nawet niepopartych żadnym dowodem oskarżeń. W książce umieściłam materiały z Instytutu Pamięci Narodowej, a także przytaczam m.in. słowa Eugeniusza Wita (zesłańca syberyjskiego, który z armią Andersa zgłosił się do spadochroniarzy; wieloletniego adiutanta generalnego Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce), który w 1958 roku był uczestnikiem debaty na temat skrótów książki „Monte Cassino”. Debata ta odbyła się na życzenie Wańkowicza w Nowym Jorku w środowisku weteranów. W jej wyniku stwierdzono, że „Wańkowicz miał rację co do wydania książki w Polsce. Dzięki niej ludzie dowiedzieli się o szczegółach tej bitwy i mogli być dumni. Książka była potrzebna, by przetrwać, podtrzymywała uczucia patriotyczne. Pomogła legendzie bitwy i legendzie żołnierza polskiego. Dzięki takim książkom rosło pokolenie, które marzyło o wolnej Polsce”.

Chcę podkreślić, że Wańkowicz był porządnym człowiekiem, niewmieszanym w żadne układy, był barwną i ciekawą postacią, nie żalił się, trzymał fason. Jego książki były uwielbiane, środowisko zazdrościło mu tego. Nie wytypowano go żadnej

nagrody – ani przed wojną, ani na emigracji, ani w Polsce powojennej. Mówił o tym z żalem, nie z dumą.

Nie jest powszechnie znane, że hojnie przekazywał pieniądze do kasy represjonowanym, a tuż przed śmiercią w 1974 roku przekazał Janowi Józefowi Lipskiemu i Janowi Olszewskiemu znaczącą na owe czasy kwotę na ten sam cel. Wspierał finansowo opozycję demokratyczną w Polsce, o czym jest w książce szeroka wypowiedź Jana Olszewskiego.

Myślę, że tą książką zamknęłam swoje pisanie o autorze „Szczenięcych lat", chyba że pojawi się jakiś nowy atak i będę musiała wyjaśniać i tłumaczyć. Zawsze także służę pomocą każdemu, kto chciałby się zająć jego pisarstwem.

Dzięki pani książce poznajemy Wańkowicza nie z perspektywy biografa, zbierającego z różnych źródeł informacje o interesującej go postaci, ale z perspektywy osoby, która była z nim na co dzień, patrzyła na niego podczas pracy, czy też w ramach jego życia domowego. Nie skupia się pani na chronologicznym opisie wydarzeń. Dlaczego przyjęła pani taką formę?

Chciałam, by „Wokół Wańkowicza" była książką „do czytania", aby miała ton poważniejszy i ton lżejszy. Są w niej wspomnienia pisarza – jakiego znałam – także rozdziały analizujące jego

książki. Pokazuję okres przedwojenny, wojenny, gdy był korespondentem II Korpusu, jak zbierał materiał do najgłośniejszej swojej książki „Monte Cassino”.

Piszę o niełatwym pod wieloma względami okresie na emigracji (Zofia Wańkowiczowa sprzątała po domach), o decyzji powrotu do Polski w 1958 r. Obszernie omawiam proces wytoczony pisarzowi w PRL w 1964 r., o którym pisano dużo także w Stanach Zjednoczonych; interweniowali m.in. amerykański PEN Club, senator Robert Kennedy.

Przytaczam wspomnienia – jak zapamiętali go różni ludzie. Jest rozdział o pisarce Zofii Romanowiczowej, która była sekretarką pisarza przy pisaniu „Monte Cassino”, a po jego śmierci napisała poświęconą mu książkę: „Sono felice”.

Są także pokazane zbierane na niego liczne, nieraz wręcz żałosne donosy, które są w teczkach IPN.

Co jeszcze w książce „Wokół Wańkowicza” jest nowego?

Jest rozdział: „Ostatnie dni Krystyny Wańkowiczówny. Opowieść ‚Gryfa’”. Piszę o starszej córce pisarza, która zginęła w szóstym dniu powstania warszawskiego. Ojciec napisał o niej pięknie w „Zielu na kraterze”. O ostatnich dniach Krystyny ps. „Anna” opowiedział mi jej dowódca Janusz Brochwicz-Lewiński ps.

„Gryf”, do którego udało mi się dotrzeć w 2010 roku. Krystyna została pochowana w prowizorycznej mogile. Zofia Wańkowiczowa, która wiosną 1945 r. uczestniczyła przy odkopywaniu tego grobu, zapewne nie rozpoznała ciała córki. Nie wiedziała, że Krystyna obcięła warkocze, że zamiast spódniczki plisowanej, w której wyszła do powstania, miała na sobie mundur. Niestety, Zofia i Melchior Wańkowiczowie nie wiedzieli o tym. O tym dowiedziałam się ja – 56 lat później. Jest to jedna z bardziej przejmujących opowieści, o której w swoim życiu napisałam.

Wańkowicz w testamencie pozostawił pani swoje archiwum. Czy udostępnia je pani zainteresowanym? Czy dokonuje pani selekcji, które materiały mogą ujrzeć światło dzienne, a których lepiej nie ujawniać?

Archiwum jest w moim warszawskim mieszkaniu, część przekazał sam pisarz i część ja – po jego śmierci – do Ossolineum. Każdemu, kto do mnie się zgłosi, udzielam pomocy. Gdy jestem w Polsce, robię kopie listów, artykułów i wysyłam zainteresowanym. Jak dotąd, udostępniłam archiwum prof. Marcinowi Kuli, Robertowi Jarockiemu (materiały dotyczące tematu żydowskiego), listy Kazimierza Wierzyńskiego – Pawłowi Kądzieli, korespondencję Zofii Kossak-Szczuckiej – Mirosławie Pałaszewskiej, materiały związane z tematem Westerplatte – dr Krzysztofowi Zajączkowskiemu, ogólne Annie Malcer-Zakrzackiej

z Gdańska, piszącej pracę doktorską na temat autora „Szczenięcych lat”, Bartoszowi Bajkowi – korespondencję pisarza z Florianem Czernyszewiczem, autorem książki „Nadberezyńcy”.

Zamierzam przekazać archiwa Wańkowicza do Biblioteki Narodowej lub – jako kontynuację – do Ossolineum.

Kilka lat temu w jednym z wywiadów powiedziała pani, że o Wańkowiczu powoli się zapomina. Czy tę konstatację może pani powtórzyć również dziś? Czy może jednak coś się zmieniło? Jak widzi pani w tym procesie swoją rolę?

Jest lepiej. Ważne jest wejście do lektur szkolnych, o czym wspomniałam. Ważne jest, aby książki były wznawianie, by pisać o nich. Moim swoistym obowiązkiem jest czuwać nad spuścizną Wańkowicza. Pod moją redakcją wydane zostały wielotomowe serie, ostatnio 16-tomowe „Dzieła wszystkie” (wyd. Prószyński i S-ka), w której po raz pierwszy ukazały się teksty o tematyce żydowskiej czy o Wołyniu. Chciałabym, by była wznowiona biografia pisarza pióra Mieczysława Kurzyny.

Ważna jest doroczna ceniona Nagroda im. Wańkowicza za radiowy reportaż. Są szkoły jego imienia, jest pomnik autora „Na tropach Smętka” w Piszu, na Mazurach. Imię pisarza noszą ulice w całej Polsce – np. w Warszawie, Krakowie, we Wrocławiu, w Poznaniu, Szczecinie, Olsztynie, Koszalinie, Jeleniej Górze, w

Radwanicach, w Bolesławcu, Bartoszycach.

W książce wydanej po angielsku w 2013 r. w Stanach Zjednoczonych pt. „Melchior Wańkowicz Poland's Master of the Written Word" nazwałam go „polskim Hemingwayem" – ze względu na bogatą osobowość, popularność, różnorodną tematykę książek, niezwykłe życie, przemieszczanie się. W 1958 r. wyjeżdżał z USA oskarżany przez Polonię o „powrót do komunistów". Po ponad pół wieku wrócił za Wielką Wodę – książką o sobie. Książka ma drugie wydanie.

Jest pani autorką innych książek, które ukazały się także w języku angielskim. Po polsku i po angielsku zaczęły się ukazywać pani książki jako audiobooki. Wydała pani w języku angielskim w Stanach Zjednoczonych dziewięć tytułów i trzy w Kanadzie. Jako dwie pierwsze ukazały się książki o Indianach i o… kotach… O angielskojęzycznych pani wydaniach pisali m.in. znani z książki „Sprawa honoru" Stanley Cloud i Lynne Olson, a także wielu innych, jak chociażby: Zbigniew Brzeziński, Audrey Ronning Topping, Stanley Weintraub, Bruce Johansen, John Mensch, Larry Cunningham, Irene Tomaszewski, Jerzy Krzyżanowski, Anna Cienciała, Piotr Wandycz, James S. Pula, Charles S. Kraszewski, Ewa Thompson, Mary Lanham, Florence W. Clowes. Proszę przypomnieć tytuły pani angielskojęzycznych książek.

W Kanadzie ukazały się „Dreams and Reality”, „The Roots are Polish” i książka o senatorze polskiego pochodzenia „Senator Stanley Haidasz: A Statesman for All Canadians”.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkam od 1990 roku, najpierw ukazała się książka o tematyce amerykańskich Indian (piszę m.in. o stryju, rzeźbiarzu Korczaku Ziółkowskim, który rozpoczął budowę w skałach pomnika Crazy Horse’a) – „Open Wounds a Native American Heritage” (polska wersja: „Otwarta rana Ameryki”); jej wydanie sponsorowali Apacze, po ukazaniu się recenzowały ją pisma indiańskie.

Druga amerykańska książka opowiadała o podróżach… z moją kotką: „On the Road with Suzy from Cat to Companion” (polska wersja, dwa wydania: „Podróże z moją kotką”). Dwa lata szukałam wydawcy na książki o tematyce historycznej – nasze polskie losy „z wojną w tle”. Są to: „Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising” (polska wersja ma już trzecie wydanie: „Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża” (wyd. Muza), „The Polish Experience Through World War II: A Better Day Has Not Come” (polskie wydanie: „Lepszy dzień nie przyszedł już”), „Polish Hero Roman Rodziewicz Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald, and Postwar England” (za tę książkę otrzymałam Fellowship in Literature by the Delaware Division of Arts). Książki te mają drugie wydania w tzw. miękkiej okładce. W 2018 r. ukazała się „Untold Stories of Polish Heroes from World

War II”.

Napisałam także książkę „Ingrid Bergman and her American Relatives” (aktorka była bliską kuzynką mojego męża Normana) – polska wersja “Ingrid Bergman prywatnie” – a także książkę o moim życiu pt. „Love for Family, Friends, and Books” (polska wersja, dwa wydania: „Ulica Żółwiego Strumienia”).

Ogólnie powiem, że najlepiej się miewa książka o podróżującej kotce Suzy „On the Road with Suzy from Cat to Companion”, która ukazała się w 2010 r. i wciąż ma dodruki.

Porozmawiajmy teraz o drugiej książce, która też niedawno się ukazała w Polsce, czyli o wydanych przez znane wydawnictwo Bellona „Pisarskich delicjach”. Są to pani rozważania o własnym warsztacie pisarskim. W jednym z rozdziałów napisała pani, że bohaterka książki „Kaja od Radosława” odwdzięczyła się, zapisując pani… miejsce w grobie na Powązkach.

No właśnie, czy wielu autorów otrzymało taki prezent od swoich bohaterów?

W tej książce chciałam się podzielić doświadczeniami z procesu pisania. Zastanawiam się w niej, czym jest dla mnie literatura faktu, jak się układały relacje z ludźmi, którzy opowiedzieli mi

swoje losy. A także, jak po ukazaniu się książek niektóre ich tematy pokazywały „inne, nowe wątki”.



Tablica pamiątkowa poświęcona Melchiorowi Wańkowiczowi, Warszawa, Nowy Świat, fot. wikimedia commons

W „Pisarskich delicjach” poświęciła pani rozdziały m.in. takim mistrzom pióra i publicystyki, jak Jerzy Giedroyć czy Isaac Bashevis Singer. Dlaczego właśnie oni stali się współbohaterami pani opowieści?

Piszę o tym, jak wspaniałą lekcję „zaczepienia tematu” dostałam w czasie spotkania z Isaakiem Singerem w Nowym Jorku we wrześniu 1985 r., gdy byłam stypendystką Fulbrighta. Spotkanie Singera było dużym wydarzeniem w moim życiu. Podarował mi swoje książki z dedykacjami, a także książkę z ręcznymi poprawkami do nowego wydania. Otrzymałam też od niego fotografię z piękną dedykacją. Odpowiedział na wiele moich pytań, m.in.: jakie ma rady dla młodych pisarzy. Przytaczam je w „Pisarskich delicjach”.

Jerzy Giedroyc – z którym wymieniłam ok. 200 listów; pisywałam do „Zeszytów historycznych” i paryskiej „Kultury” – zaprosił mnie do współpracy przy porządkowaniu jego korespondencji z Melchiorem Wańkowiczem. Pytał też o moją kotkę, o Indian, którymi bardzo się interesował, ale jednocześnie mieliśmy inne zdania na temat osoby Wańkowicza, którego ja „broniłam”. Napisał, że jestem „emocjonalna”, jeżeli chodzi o pisarza, a ja odpowiedziałam, że nazywam to „lojalnością”. Giedroyć wymienił swój wstęp do tomu korespondencji, nowy napisał ładnie – z szacunkiem i podziwem. Jestem mu wdzięczna, że dał się przekonać.

Czy można uznać, że w zdaniu w „Pisarskich delicjach”: „Pisanie pojmuję… jako posłannictwo, służenie innym, ale i sobie: własnym upodobaniom czy wręcz fascynacjom”, zawarła pani swego rodzaju *credo* pisarskie, a być może

także życiowe?

Moje rozumienie pisania nie musi być zbieżne z przemyśleniami innych. Pisanie pojmuję – najogólniej mówiąc – właśnie niemal jako posłannictwo, służenie innym, ale i sobie. Czasami mówię: żeby mi życia starczyło, abym mogła spokojnie przemyśleć, wysłuchać, poczytać, zrobić notatki, i wreszcie – napisać.

„Pisarskie delicje" zaczęłam od eseju, że pisanie należy do świata magicznego, i wielu z nas chciałoby w nim zamieszkać. Nawet tylko znalezienie się w jego kręgu daje dużo wrażeń i uczy… pokory. Dobre pisanie to połączenie ciekawej formy i treści. Kiedy sposób pokazania jest tak samo piękny jak opowiedziana historia – to zazwyczaj powstaje interesująca literatura.

Każdy autor chciałby, by jego książka była ważna i oryginalna, by skłaniała do refleksji. Pisząc, chcemy przekazać innym nasze obserwacje, emocje, odczucia, wrażenia i fakty.

Pisząc, za każdym razem jakbym reagowała na rzeczywistość, ludzi i na zdarzenia wokół siebie. Jakbym chciała odpowiedzieć na pytanie: „Jakie jest nasze życie?".

Opowieści innych zawsze mnie interesowały, chętnie ich wysłuchuję i czasami chcę o nich także napisać. Również moje własne życie dostarcza mi emocji, które często są inspiracją.

Piszę o tych dobrych, i o tych gorszych, i jest to rodzaj swoistej terapii, gdy dzielę się swoimi przemyśleniami i obserwacjami z innymi. Tak jak wszyscy, wciąż uczę się żyć, potykając się, nie raz i nie dwa. Chciałabym zrozumieć swoje życie i świat wkoło mnie, pisząc, przybliżam i w jakiejś mierze przyswajam sobie nowe i nieznane zjawiska.

Pisze pani o literaturze faktu, podkreśla jej wagę we współczesnym świecie…

Dwudziesty pierwszy wiek od samego początku należy do literatury faktu, i zapewne taki pozostanie. Gdy wchodzi się do sieci księgarń *Barnes and Noble,* widać przede wszystkim monografie, biografie, wspomnienia, omówienia, pamiętniki, dzienniki, wywiady, wyjaśnienia, relacje.

Czytelnik współczesny oczekuje dokumentacji, jest głodny faktów, przekazów z pierwszej ręki. Chce śledzić, co się dzieje w świecie, który dzięki telewizji i głównie internetowi wszedł w nasze życie ze swoimi dylematami, problemami, katastrofami i biedą. Na temat wielu spraw i zjawisk pragniemy wiedzieć więcej, czasami je zgłębić lub choćby „coś” lepiej zrozumieć. Chcemy wiedzieć także o sprawach nam, Polakom, bliskich, o naszej historii, naszych wielkich postaciach, ale i o przeciętnym człowieku, by się z nim identyfikować. Może chcielibyśmy wyciągnąć nowe wnioski z naszej przeszłości, nawet wiedząc, że

„historia lubi się powtarzać”.

Jak pani patrzy na pojęcie kreatywności w literaturze faktu?

Autorzy *non-fiction* mają swoisty kontrakt z czytelnikiem: nic nie wymyślamy. Wszystko, o czym piszemy, jest oparte na dokumentach, faktach, ustalonych relacjach, i autor winien o tym napisać czytelnikowi. Uważam, że mimo tych trudności, pole do kreatywności jest duże.

Pisarz, który wybiera literaturę faktu jako swój warsztat i tematykę, zdaje sobie sprawę od początku, i z czasem coraz bardziej przekonuje się, przed jakimi staje zadaniami. Przede wszystkim musi dbać, by jego przekaz zawierał prawdę – zarówno miejsca i czasu akcji, jak postaci, które pokazuje. Prawdziwe muszą być ich wybory i motywy działania, ich życie, dobry los, tragedia i ból, potknięcia, rozczarowania, upadki, jak i radości, i satysfakcje. Różne są sposoby pokazania wybranego bohatera i jego losów, zdarzeń wokół. Trudność polega na tym, jak przekazać prawdę, która jest „moją prawdą” lub prawdą „innej osoby”. Czy jest jedna prawda? To jest temat nieraz skomplikowany.

A co jest ważne przy pisaniu? Co przeszkadza, powstrzymuje od pisania?

Ważne jest, aby autor umiał zaangażować, wciągnąć emocjonalnie czytelnika w tok swojej opowieści. Kreatywność piszącego polega na wyborze perspektywy, która jak oko kamery pozwala zatrzymać i skupić się na wybranym szczególe. Skupić tak, by zwrócić uwagę czytelnika. Podając szczegóły niejako wciąga się czytelnika w akcję, uruchamia jego wyobraźnię. Wstrzemięźliwość ma ważną rolę w opowiadaniu, może wykreować dramat i napięcie. Powiedzenie „za dużo" zabiera napięcie, gadulstwo narratora niszczy tekst.

Co powstrzymuje od pisania? Dziesiątki spraw, ludzie, świadomość, że tyle już napisano, że jakże wiele się pisze, że nieraz wręcz gadulstwo nas otacza… Ale jednocześnie jakże piękne i szlachetne jest przekonanie, że ktoś chce się podzielić się z innymi ważną sprawą. Uważam, że każdy z nas ma swoją własną opowieść i może ją napisać, opierając na własnym życiu. Każdy może napisać własne wspomnienie, biografię, pamiętnik czy historię rodzinną. Jak dalece chce, jak dalece potrafi, i czy będzie chciał i umiał poddać się dyscyplinie, to jest zagadnienie osobne.

Podkreśla pani także poświęcenie…

Pisanie wymaga nieraz wielkiego poświęcenia. Zdarza się, że wszystko inne wkoło jest ważniejsze, jakby właściwsze. I zapewne często tak właśnie jest. Są i inne przypadki, kiedy

trzeba umieć uciszyć głos w sobie, który przeszkadza, nieraz wręcz jest naszym wrogiem. Może nas buntować, może stawiać pytania: „komu – na co – po co?”, i może proponować wiele ciekawych zajęć i niemałych przyjemności. Także wygoda i lenistwo zawsze podpowiadają oglądanie kolejnego programu telewizyjnego, który nas tak bardzo nie interesuje, szperanie w internecie, drzemkę, gadulstwo przez telefon, mówienie nieraz wciąż „o tym samym”.

W aneksie do książki zatytułowanym „Bądźmy dobrzy dla pisarzy” uświadamia pani, że „pisanie to długie godziny samotności przed kartką papieru (teraz głównie przed komputerem), to są godziny i dnie całe zmagania z własnym lenistwem, niewiedzą, to odsuwanie wielu spraw na bok, wielu spotkań, nieraz wielu małych i większych przyjemności”.

Pisanie to poświęcanie godzin na pracę, która nie zawsze jest odbiciem naszych starań i nadziei, nierzadko przynosi wyobcowanie, gorycz i pustkę. Pisanie to długie godziny samotności, a po jakimś czasie – lata samotności. Czytajmy biografie pisarzy, wiele nam dadzą. Jak wiele książek pomogło nam przejść przez trudności, przez załamania… Pamiętamy książki, które wywołały nasze wzruszenie, łzy i uśmiech. Książka cenna i ważna – gdy jest taka – wzrusza, uczy czegoś nowego, poszerza naszą wiedzę, zmienia nasze zdanie, naszą opinię,

rozszerza punkt widzenia, obchodzi go z różnych stron, uwrażliwia, wywołuje refleksje, daje nadzieję…

Pisze pani o procesie twórczym, zaangażowaniu, cyzelowaniu treści…

Pisarz powinien być zaangażowany emocjonalnie w temat, ale nie pokazywać swoich uczuć. Jak mówię: emocje popychają mnie do pisania, ale potem tekst odkładam, by się „uleżał". Po jakimś czasie sięgam po niego i go cyzeluję, „udoskonalam". Zbieram komentarze. Wszelkie emocje szczególnie fatalnie brzmią po latach.

Im temat trudniejszy, tym trzeba być oszczędniejszym w słowach, powściągliwszym, unikać przymiotników. Im poważniejszy, tym trzeba go podać spokojniej. Komentarz i różne odczucia powinien wywołać u siebie czytelnik w czasie lektury. Nie powinna być mu wskazana gotowa interpretacja, podsunięta i wypowiedziana przez narratora, pisarza. Trzeba podać obraz tak, by czytelnik sam wyciągnął wnioski. By wstrzymał oddech. Nie należy pisać gotowych komentarzy, czytelnik sam powinien się wzruszyć, zdziwić, zakłopotać, zastanowić, pomyśleć… Gdy to nie następuje, to znaczy, że „nie udało" mi się, nie potrafiłam…

Nieraz pokazuję losy rozbitych wojennymi wypadkami rodzin, dramaty pojedynczych osób. Wydawca amerykański napisał mi,

że poprzez pokazane losy czytelnik się identyfikuje i wzrusza, i że tak się dzieje także dlatego, że nie wstawiam własnego komentarza.

Tak właśnie pojmuję pisanie…

Rozmawiała: Jolanta Wysocka (Nowy Jork)

Wywiad ukazał się w nowojorskim „Nowym Dzienniku”, 20.09.2019 r.

*

Zobacz też:

> Wańkowicz po latach: towarzysz podróży historyków

> Pisarskie delicje i remanenty

Wańkowicz po latach: towarzysz podróży historyków



Melchior Wańkowicz, fot. Władysław Miernicki – Narodowe Archiwum Cyfrowe, Sygnatura: 20-112

Marcin Kula *(Polska)*

Książka Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm imponuje rozmiarami oraz zapleczem materiałowym. W swoich opisach i analizie autorka wykorzystuje po pierwsze wiedzę, jaką zyskała, będąc przez lata sekretarką i asystentką Melchiora Wańkowicza. To jej przekazał swoje, skrupulatnie prowadzone archiwum, toteż miała dostęp do notatek pisarza, jego listów i wycinków. Sama

korespondowała z mnóstwem ludzi, którzy mieli z nim kontakt. Prześledziła publikowane reakcje na jego książki. Przejrzała odnoszące się doń akta w archiwum paryskiej „Kultury” i w IPN… To nie jest „tylko” książka wspomnieniowa. Wspomnienia zostały w niej połączone z rezultatami wielkiej pracy, której trud przede wszystkim historyk potrafi docenić.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm stała się naszym przewodnikiem po drogach życia Wańkowicza. Widzimy jego codzienne bytowanie, różne prywatne sprawy, czytamy listy – co zresztą jest ciekawe nie tylko dla tej postaci, ale również dla refleksji nad historią kultury szeroko rozumianej. Towarzyszymy pisarzowi w smutku ostatniego okresu, kiedy był chory:

> Gdy pytałam, co go gnębi, opowiadał historie często sprzed lat, przypominał całożyciowe przykrości. Wszystko to, co mówił, było smutne, przygnębiające, czasami zdumiewające… – s. 97.

Z książki można się dowiedzieć o najróżniejszych sprawach, z którymi Wańkowicz mial kontakt – na przykład o historii wydawnictwa „Rój”, o życiu emigracji, o paryskiej „Kulturze”. Także o sporach i namiętnościach nie tylko literackich wokół dzieł pisarza (na przykład o druku przez Związek Niemieckiego Wschodu niemieckiego tłumaczenia „Na tropach Smętka”, z

numerowanymi egzemplarzami, dla poznania metod Polaków – co mojemu pokoleniu niestety żywo przypomina, dajmy na to, biuletyny tekstów zachodniej prasy, nawet tekstów audycji WE, przygotowywane dla osób zaufanych w PRL).

Badania autorki w zakresie życia i twórczości Wańkowicza były zbieżne – bowiem dzieło pisarza było wyjątkowo splecione z jego życiem. To był człowiek, który nie przestawał być reporterem

> **Wańkowicz:** Gdy jadę tramwajem, coś zmusza mnie do tego, bym się dowiedział, jaką książkę czyta ów pan w przeciwległym kącie wozu. Śledzę jakąś parkę na przestrzeni kilku ulic, aby się dowiedzieć, jakim mówią językiem. Zaglądam do cudzych okien, odczytuję wszelkie szyldziki na drzwiach mieszkań kamienicy, do której przybywam w odwiedziny, szukam na cmentarzu znajomych nazwisk. Obojętnych mi ludzi wypytuję o ich życie. Niezwykłe nazwy ulic zmuszają mnie do zastanowienia się, dlaczego one tak właśnie brzmią. Chciałbym przetrząsnąć każdą rupieciarnię i każdy stos starych papierów. Każdy napis „Wstęp wzbroniony” nęci mnie do przekroczenia zakazu, każda tajemnica zachęca do jej zgłębienia – s. 181.

Przeprawiając się wpław przez Dniestr pod koniec września 1939 r., Wańkowicz przeniósł maszynę do pisania (!). Potem pisał czy

to o „codzienności” wojennej tułaczki, czy o wielkich sprawach. Gdzie go los rzucił, tam obserwował i opisywał otoczenie. Gdy go ten los uwikłał go w wojnę, tworzył obraz wojny. Gdy zaniósł go do Palestyny, to tam rozwijał swoje zainteresowanie Żydami i syjonizmem. Fascynował się Ameryką, gdzie spędził dziewięć lat. Żyjąc wśród emigrantów, obserwował i definiował dylematy, wobec których stali

> **Wańkowicz:** W 1949 roku sądzę, że Rosja zwycięży, ale nie potrafi urządzić świata. I rozleci się. Iść za stroną skazaną na przegranie przeciw Rosji, jest bezmyślnym samobójstwem, a walka o rzekome walory kultury zachodniej – zakłamaniem publicystów, którzy potrafią recytować Wyspiańskiego, ale z ekonomii politycznej nie przeczytali nawet jednego podstawowego podręcznika – s. 278.

Gdzie Wańkowicza coś interesowało – tam starał się pojechać (bolszewicka Rosja, Meksyk okresu wojny religijnej). Po latach Ryszard Kapuściński zaczął pewien ustęp, chyba nie zdając sobie sprawy jak charakterystyczne dla siebie formułuje zdanie: „Gdy jechałem na rewolucje do…” (dalej padła nazwa jakiegoś kraju afrykańkiego, której już nie pamiętam). Podczas jakiejś konferencji o problemach społecznych w Ameryce Łacińskiej Kapuściński wyszedł, mówiąc, że wróci później – bowiem dotarło do niego, że właśnie w tym mieście, trochę dalej, rozgrywa się

bijatyka manifestantów z policją; poszedł tam zatem, by samemu obejrzeć ekspresję problemów społecznych. Właśnie taka była odpowiednio wcześniej postawa Wańkowicza. Kapuściński nie musiał go oczywiście naśladować – ale przynajmniej w tym wymiarze postawa wielkich twórców reportażu była podobna.

Pisząc swoje reportaże, Wańkowicz z pewnością nie myślał o przyszłych historykach. Stworzył jednak dla nas niezwykłe źródło – i w tym sensie stał się towarzyszem naszej podróży w czasie. Dysponujemy różnymi źródłami – ale reportaże z epoki mówią do nas w inny sposób niż materiały aktowe, nawet niż różnego typu raporty. To są opisy zawodowych i zapasjonowanych obserwatorów, którzy najczęściej umieją patrzeć, analizować i uogólniać. Wystarczy zresztą popatrzeć na współczesnych polskich reporterów (by wymienić przykładowo: Jacka Hugo-Badera, Adama Leszczyńskiego, Małgorzatę Rejmer, Ziemowita Szczerka, Mariusza Szczygła, Małgorzatę Szejnert, Wojciecha Tochmana…).

Przyzwoity reporter to obserwator nieraz bardziej wiarygodny niż wielu innych autorów źródeł opisowych, gdyż najczęściej jest mniej od nich zainteresowany osobiście sprawą, o której pisze. Nadto najczęściej stara się zrozumieć obserwowanych ludzi, wczuć się w ich pasje. Istnieje oczywiście niebezpieczeństwo, że reporter pójdzie mocno w kierunku literatury, że – jak wielki malarz – przedstawi atmosferę sytuacji nawet kosztem

dokładności jej odzwierciedlenia. Wańkowicz, jak pisze autorka, „wprowadził reportaż polski na szerokie drogi literatury faktu" (s. 175). Czasem obserwowano takie podejście u Kapuścińskiego, którego teksty czyta się znakomicie i z pożytkiem dla zrozumienia biegu spraw, ale czasem z pytaniem, czy odmalowane w szczegółach sytuacje doprawdy tak wyglądały. Teksty Wańkowicza chyba mogą być jednak źródłem nawet dla historyka najbardziej wiernego kanonom uprawianego zawodu. Nie da się dziś pisać o Polakach w Prusach Wschodnich, czy o COP-ie, bez ich lektury. Sam *notabene* z pożytkiem korzystałem z wańkowiczowskich reportaży dotyczących Palestyny i Meksyku. Ciekawe były wrażenia pisarza z bolszewickiej Rosji. Niektore z jego reportaży były dosłownie unikalne – jak wywiady z Rydzem-Śmigłym i z Beckiem w Rumunii, czy z Abrahamem „Yairem" Sternem, żydowskim terrorystą poszukiwanym przez Anglików. Wańkowicz, będąc w Palestynie, starał się o kontakt z nim. Nie mógł go uzyskać – co nie jest dziwne. W końcu dostał wiadomość, że ktoś przyjdzie do niego wieczorem i od przebiegu rozmowy zależy, czy dojdzie do spotkania. Rozmowa toczyła się przez całą noc. Gość ulotnił się po końcu godziny policyjnej. Trochę później Wańkowicz wyszedł na ulicę i na plakatach z ogłoszeniami o osobie poszukiwanej zobaczył swojego rozmówcę.

Wątkiem interesującym dla historyka jest jednak także samo życie Wańkowicza. Biologowie mawiają, że patrząc na kroplę

wody pod mikroskopem można wiele dowiedzieć się o nadspodziewanie szerokich zagadnieniach. Bogate życie Wańkowicza mogłoby być pryzmatem, przy pomocy którego dałoby się napisać kawał historii Polski. Niektóre jego etapy dokumentował sam Wańkowicz, inne – albo te same – opisała oraz zilustrowała dokumentami autorka. W książce pojawia się życie przedwojenne pisarza, dzieje wydawnictwa „Rój", zawirowania wojenne, jego życie na emigracji i (co ważne!) wśród emigrantów, kontakty z „Kulturą", decyzja o powrocie i jej echa w środowisku emigracyjnym… no i życie w PRL. Ten ostatni etap bardzo mnie zainteresował – bowiem nasunął mi pytanie jakie okoliczności sprawiły, że w komunistycznej Polsce Wańkowicz mógł być tak wielką postacią. Potwierdził też moje przekonanie, wywiedzione zarówno z pracy zawodowej, jak ze wspomnień, o niekoherencji tego systemu, przynajmniej po 1956 r.

Stwierdzenie, że Wańkowicz był wielką postacią bowiem był wielkim pisarzem, jest tylko częściową prawdą. W PRL nie on jeden był wybitnym pisarzem, a mało kto został tak zapamiętany. W końcu władze mogły nie dopuścić, by rósł w siłę jako pisarz. Myślę, że jego popularność w pierwszym rzędzie budowały cechy osobiste. PRL była w znaczącym stopniu krajem ludzi szarych i typowych. Nawet wśród relatywnie znanych postaci mało było oryginałów, osób nietuzinkowych, nieszablonowych. Takich władza zresztą nie lubiła. Wańkowicz zaś taki był. Robił wrażenie

swoją postawą, przynajmniej zewnętrzną pewnością siebie, rozbudowanym *ego*

> Ileż różnych cech miał w sobie ten czlowiek! Był jednocześnie i egoistą, i gotowym do poświęceń, wielkim łgarzem, egocentrykiem, gruboskórnym, a także wrażliwym na ludzkie cierpienie, lękającym się o sobie myśleć jako o wielkim pisarzu, delikatnym, czułym, tkliwym. Był sprzecznością. Sama nie wiem, które cechy dominowały, zależało to od ludzi, od układów, od sytuacji – s. 101.

> Był sprzecznością: i chciał, i nie chciał nagrody państwowej, orderu, uroczystego pogrzebu, wielkiej śmierci – s. 110.

Bardzo mało było w PRL ludzi utrzymujących styl człowieka „do wypitki i do wybitki”, przypominających szlachcica we dworze, prowadzących otwarty dom, gdzie bywała „cała Warszawa”.

> Lubił przyjmowć ludzi, lubił dawać dobrze zjeść. Ugaszczał ich delicjami, smakołykami, wyszukanymi różnościami, jak ośmiorice, ślimaki, żaby itp. – s. 103.

Był trochę człowiekiem dawnych czasów – co w PRL nie zdarzało się często, przynajmniej wśród osób funkcjonujących publicznie. Utrzymywał szeroką korespondencję, masowo otrzymywał listy od najróżniejszych nadawców, w tym od „zwykłych ludzi". Wątpię, czy wiele znanych osób w ówczesnej Polsce odpowiedziałoby na list z pytaniem, czy dziecko ma nazwać psa „Dupek" (imię psa Wańkowicza), czy „Melchiorek" (oczywiście od imienia samego pisarza). Jeszcze mniej odpowiedziałoby następująco:

> Drogi Kubusiu, odbyłem z Dupkiem naradę, ale na razie do niczego nie doszliśmy: on chciał, żeby Twój piesek nazywał się Dupek, a ja – żeby Melchiorek. Ale stało się tak, że już jedna dziewczynka nazwała swój jasiek Melchiorkiem, a biednego Dupka nikt jeszcze nie uczcił. Wobec czego powiedziałem Dupkowi „mądry głupiemu ustąpi", na co on zamerdał ogonkiem. Ale powiedziałem: dobrze, niech piesek Kubusia zostanie Dupkiem Nr 2 i nie przynosi wstydu, ale na drugie imię niech ma Melchiorek. Na co Dupuś polizał mnie w nos, a więc się zgodził. Tak więc, jeśli Twój piesek będzie miał synka, to mu koniecznie wpisać należy imię ojca: „Dupek-Melchiorek". Daj mu z powodu tych chrzcin jakąś honorową kość. Całuję Ciebie – Melchior Wańkowicz (s. 63-64).



Grupa polskich uczestników kongresu podczas pobytu w poselstwie polskim, X kongres PEN Clubów w Budapeszcie w 1932 roku. Stoją od lewej: Władysław Korsak, Mieczysław Grydzewski, Romana Kaden-Bandrowska, Jan Tomcanyi, Breiterowa, Witold Hulewicz, Julisz Kaden-Bandrowski, Szalom Asz, **Melchior Wańkowicz,** Zdzisław Kleszczyński, Stefania Podhorska-Okołów, profesor Huzarski, Kazimierz Wierzyński, siedzą: Dobrowolska, Wańkiewiczowa, Wieleżyńska, Łepkowska, poseł Stanisław Łepkowski, ks. Lubomirska, Stella Olgierd, rtm. Nitman, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Pisarz był – co wówczas rzadkie – człowiekiem-firmą, autorytetem otwartym na kontakty, wręcz lubiącym chcących się

do niego zbliżyć. Zatrudniał sekretarkę, budował dom, gromadził własne archiwum, produkował mnóstwo tekstów. Był atrakcyjny jako człowiek z Zachodu. Jako ten, który wrócił, był dla władz do pewnych granic wygodny. Jego dzieła znajdowały uznanie czytelników w różnych gronach – także w szeroko rozumianym środowisku ludzi władzy. Wówczas było w nim przecież już znacznie więcej ludzi o mentalności z grubsza przeciętnej niż charakterystycznej dla wiekowych komunistow. W latach sześćdziesiątych PZPR coraz bardziej uderzała w nutę patriotyczną. Robiła to i dawniej, ale wówczas ta patriotyczna stopniowo stawała się niemal jedyną. Coraz częściej wracał klasyczny dyskurs o bohaterstwie Polaków. Oczywiście, cała ta ewolucja miała ograniczenia – ale zaryzykuję powiedzenie, że właśnie dlatego mówienie o Monte Cassino było dla ówczesnych władz wygodniejsze niż mówienie na przykład o AK i Powstaniu Warszawskim. W ramach tej ewolucji Wańkowicz mógł być nawet wygodny z punktu widzenia władz. Prawda, bywały z nim kłopoty. Nie chciał siedzieć cicho. Podpisał list 34. Praktycznie nie ukrywał swoich myśli. Gdy przyszedł kiedyś do mojego liceum na spotkanie z młodzieżą, ktoś z uczniów (nie ja!) zapytał go dlaczego nie pisze o… i tu wymienił jakąś sprawę wtedy drażliwą, doprawdy nie pamiętam już jaką. Pisarz odpowiedział jednym słowem: „Dlatego”. Brak mi talentu Wańkowicza (sic!), by oddać tę scenę – ale nikt na sali nie miał wątpliwości, że miało to znaczyć, iż władza nie pozwala. Niemniej jednak narastający w latach sześćdziesiątych moczaryzm go potrzebował. On zresztą

przyjmował w domu niektórych ludzi wyraźnie o takiej orientacji (Załuskich, Jana Zygmunta Jakubowskiego) – trudno powiedzieć, czy cynicznie, czy z prawdziwej chęci. Na tym tle proces Wańkowicza był czymś więcej niż strzeleniem sobie przez establishment w stopę:

> Ostatecznie proces przyniósł Wańkowiczowi jeszcze większą popularność, stał się kimś w rodzaju bohatera. Ludzie zatrzymywali go na ulicy, otrzymywał kwiaty i listy od czytelników. Znany był powszechnie wypadek, kiedy przyszedł do teatru, zajął miejsce w pierwszym rzędzie i w połowie aktu jeden z aktorów, rozpoznawszy go, podszedł do rampy, ukłonił się i dopiero potem wznowił grę. Brawa publiczności pokwitowały to zdarzenie – s. 358.

Ten proces był czymś sprzecznym z logiką ówczesnej ewolucji PZPR. Całe posunięcie bardziej pasowało do Gomułki niż do Moczara i wszystkich ówczesnych arywistów z tego okresu. Nie mam na to żadnych dowodów, ale odnoszę wrażenie, że proces Melchiora Wańkowicza (1964) był nie tylko ukaraniem pisarza przez Gomułkę ze złości za niepodporządkowywanie się PRL-owskim władzom, ale również komunikatem dla środowiska literackiego, że władza jest zdecydowana wymóc posłuszeństwo (jeśli nie zawahała się zamknąć, postawić przed sądem i skazać na 3 lata tak wybitnego pisarza, na dodatek mającego wtedy 72

lata…). Ostatecznie władza nie zdecydowała się uwięzić Wańkowicza – choć istnieje legenda jakoby on w pewnym sensie nawet chciał tego. Trudno oczywiście powiedzieć, że ktoś chce siedzieć w więzieniu – ale on też w swojej roli oskarżonego coś rozgrywał.

Logiki trudno się było doszukać w systemie także w przedstawianych w książce mniejszych sprawach. Po przyjeździe do Londynu pisarza odległego duchowo (i zaznaczającego swój dystans ukrytymi, ale przecież wyczuwanymi przez władzę czynami) witał na miejskim teminalu lotniczym konsul z koniakiem i kwiatami. Zasłużony dla wydawania Wańkowicza wydawca utrzymywał jakieś mętne konszachty z SB w wysiłkach pozyskania jego archiwum, zresztą nie udanych. Jak owego wydawcę dzisiaj oceniać – nawet tylko w ramach tematu „Wańkowicz"? Co było ważniejsze?

Józef Tejchma, wicepremier i Minister Kultury, osłaniał pisarza i pozostawał z nim w prywatnych stosunkach tak bliskich, że ten do jego żony pisał wierszyk: „Tejchmo Alicjo, Moja delicjo…" (s. 84). Pisarz aresztowany, z rewizją przeprowadzoną nawet w zawodowych materiałach, był jednak przetrzymywany w dobrych warunkach poza regularnym więzieniem. Został skazany, ale zwolniony od odbycia kary. Skazany, ale przyjęty na rozmowę przez samego Gomułkę:

> Pisarz mówił, że jedynie w Polsce możliwa jest sytuacja, aby skazany żył z wyrokiem półtorarocznego więzienia, poruszał się swobodnie, a nawet wyjeżdżał za granicę – s. 358.

Nawet jeżeli w tle może kryły się rozgrywki wewnętrzne w ramach PZPR, których nie znamy – to opisywane zjawisko było jednak głębsze.

Wańkowicz, pisarz opozycyjny, procesował się z Tadeuszem Walichnowskim – czołową postacią moczaryzmu, jedną z głównych postaci ofensywy marcowej, jedną z najmocniejszych postaci ówczesnego establishmentu policyjnego. Dobrze, procesował się o to, że tamten w swoim dziele napisał, iż „Na tropach Smętka" przyczyniło się do śmierci wielu osób (wskazując je Niemcom). Niemniej jednak procesował się. Proces zresztą wygrał – co niestety niewiele mu przyniosło, gdyż nie dożył wyroku.

Ten system był niekoherentny, niespójny, zaś Wańkowicz swoją postacią i swoją twórczością, nawet okrawaną, ową niekoherencję powiększał. W Polsce czytano „Bitwę o Monte Cassino", nawet jeśli okrojoną, w wielkich nakładach, nieporównywalnych z ewentualnym przeszmuglowaniem pewnej liczby tej książki z Zachodu – co pewno miałoby miejsce, gdyby tam pozostał. Barwność postaci pisarza też była elementem

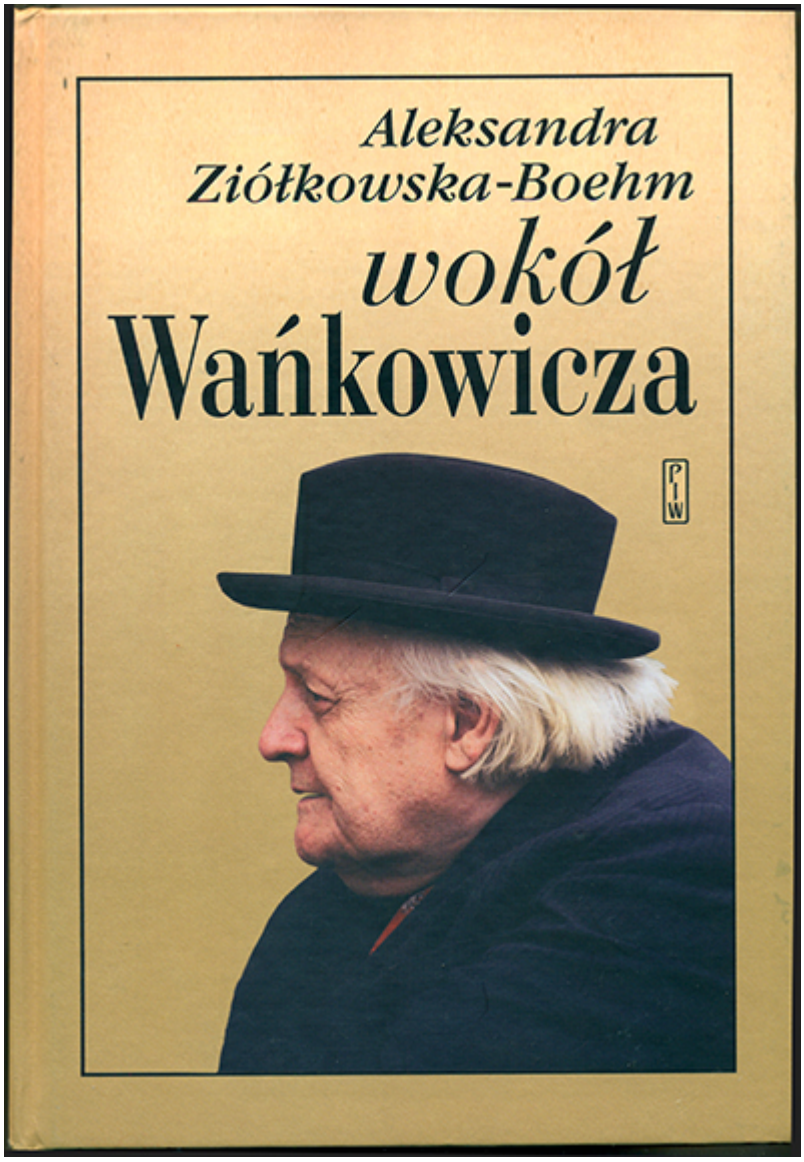
zdrowia w niezdrowej PRL. Choćby dla takich przyczyn cenne było, że wrócił – wbrew wszystkim krytykującym ten jego krok.

Z punktu widzenia cech systemu PRL – pomijając oczywisty ludzki aspekt sprawy – ciekawe są ostatnie momenty życia pisarza. Aleksander Małachowski odnotował:

> Umierający Melchior Wańkowicz wezwał moją żonę oraz mnie i przez wiele nocnych godzin przekonywał nas, dlaczego nie możemy dopuścić, by mu sprawiono uroczysty, państwowy pogrzeb. Oni – mówił – zechcą to zrobić nie dla mnie, ale po to, by się sfotografować przy mojej trumnie.

Pisarz wyraził życzenie, by w nagrobku na rodzinnym grobie nie naprawiać rzeźby uszkodzonej kulą wystrzeloną podczas Powstania Warszawskiego. Skądinąd dziś powszechnie uważany za nieskończenie tępiony Kościół, wysyłał księdza z ostatnią posługą choć Wańkowicz o niego nie prosił. W pogrzebie uczestniczył minister kultury, pogrzeb prowadzil jeden z biskupów, kamery TV filmowały (unikając widoku księży w kadrze), SB spisała swoje raporty z pogrzebu, cenzorskie zapisy w sprawach związanych z Wańkowiczem trwały, rzecz jasna, po jego śmierci. W sumie: totalne pomieszanie, ale lepiej było tak, niż inaczej.

Last but not least, dla historyka ciekawe jest widoczne w sprawach Wańkowicza długie trwanie pewnych spraw dziejowych. One się w Polsce – choć nie tylko tu – nie mogą skończyć, niektóre nawet odradzają się. Za PRL niektóre były wyciszane, ale może tym bardziej żyły. Gomułka pomówił Jasienicę o sprawy z grubsza ćwierć wieku wcześniejsze – a potem miała miejsce okropna rozmowa Wańkowicza z umierającym. Upadł komunizm, a Polska wciąż żyje historią. Inni teraz mówią o Wałęsie sprzed pół wieku. Mnóstwo ludzi jest przekonanych, że tak trzeba i że w ogóle można rozwiązać wszystkie dawne sprawy. Także o tym, że o obraz przeszłości trzeba walczyć (w praktyce przy odwołaniu się do niego trzeba walczyć z przeciwnikami). W sumie: mało to zachęcające, przynajmniej z punktu widzenia historyka, który wolałby widzieć poparcie dla badań niż boje prowadzone w ramach tzw. polityki historycznej.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Wokół Wańkowicza, PIW, Warszawa 2019, s. 696

Recenzja Marcina Kuli ukazał się w PAMIETNIKU LITERACKIM, Londyn, grudzień 2019 r.

*

Zobacz też:

„King i Królik”- powrót Melchiora Wańkowicza

Partnerzy i towarzysze życia. Korespondencja Melchiora i Zofii Wańkowiczów.